Ermitaż nad Tagiem. Maria Danilewicz-Zielińska.



Maria Danilewicz-Zielińska, po osiedleniu się w Portugalii, w pobliżu Lizbony, nazywana „Latarnikiem w Feijó”, fot. Ludomir Danilewicz, ze zbiorów Stanisława S. Niciei.

Florian Śmieja

W emigracyjnym polskim Londynie lat wojennych i powojennych roiło się od instytucji i ludzi. Byli też ludzie-instytucje. Jedną z niekwestionowanych osób tego rodzaju była Maria Danilewiczowa, energiczna kierowniczka Biblioteki Polskiej w dzielnicy Kensington, wysoka, przystojna blondyna, cieszyła się respektem i sympatią wielu czytelników. Pewnie do wszystkich klientów i petentów biblioteki podchodziła życzliwie, ale młodych, a szczególnie adeptów pióra, hołubiła najcieplej. Podsuwała im lekturę, chętnie radziła, czytała ich pierwsze utwory, służyła opinią, promowała ich na łamach prasy, wymieniała w swoich wystąpieniach publicznych.

Kiedy w latach pięćdziesiątych pojawiły się w Londynie polskie pisma młodzieży akademickiej, znalazły w pani Marii gorliwą orędowniczkę i sympatyczkę, a nawet chętną współpracowniczkę, autorkę wczesnego szkicu o literaturze emigracyjnej.

Poznaliśmy ją ponadto i cenilismy jako prelegentkę i autorkę licznych artykułów w czasopismach literackich, wreszcie jako prozaika, twórcę opowiadań i powieści, także jako krytyka piszącego wnikliwe szkice.

Urodzona 29 maja 1907 roku w Aleksandrowie Kujawskim Maria Ludwika Markowska studiowała polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim uzyskując magisterium w 1929 roku. O krajobrazie dzieciństwa wspomniała później w jednym z listów. Pocieszała mnie w nim po jakiejś literackiej utarczce.

> Łobodowskim przejął się Pan więcej ode mnie. Ja nie traktuję go poważnie i nawet nie trudzę się, by mu odpowiadać, choć popełnił kilka zasadniczych pomyłek. Przypisał mnie np. do Włocławka, a ja – choć urodzona na Kujawach – byłam w tym zacnym grodzie nadwiślańskim niespełna trzy lata w końcowych klasach gimanzjum, a wakacje spędzałam na obozach harcerskich pod nosem Łobodowskiego, bo w Zwierzyńcu Ordynackim w pobliżu Zamościa. Na dodatek Ojciec mój wychowywał się w Lublinie i tam kończył gimanzjum. Wyrosłam więc nie tylko w zasięgu miazmatów kujawskich. To raczej… Prymas Wyszyński, Pietrkiewicz, Kuncewiczowa, Nowakowski (Zygmunt, przyp. FS), a także Tadeusz Nowakowski związani byli z Włocławkiem. Katedra, której się oberwało, że jest neogotycka, jest autentycznym zabytkiem z XIV w. itd. (To odżegnywanie się od zażyłości z Włocławkiem nie przeszkodziło w tym, że została honorowym obywatelem miasta Włocławka).

Do wybuchu wojny w 1939 roku pracowała w Bibliotece

Narodowej. Opuściwszy Polskę przez trzy lata przebywała we Francji, a następnie przez Lizbonę dotarła do Anglii. Wróciła tam do bibliotekarstwa i do roku 1972 prowadziła Bibliotekę Polską. Współpracowała z pismami polskimi i brytyjskimi drukując głównie prace bibliotekoznawcze i bibliograficzne, także katalogi wystaw, przyczynki naukowe i teksty literackie.

W roku 1953 tomem opowiadań „Blisko i daleko" zadebiutowała jako prozaik. Trzy lata później również w wydawnictwie Veritas ukazała się jej powieść „Dom". W roku 1960 wyszedł tom szkiców literackich „Pierścień z Herkulanum i płaszcz pokutnicy".

Jej długoletnie zainteresowanie piśmiennictwem emigracyjnym zaowocowało, po szeregu próbnych prac, książką „Szkice o literaturze emigracyjnej" w roku 1978, wydane powtórnie w Paryżu, a następnie . poszerzone w Polsce w Ossolineum. W 1992 wyszedł w Warszawie zbiór szkicow literackich i historycznycn „Próby przywołań". Posypały się różne inne publikacje i wznowienia.

Po przejściu na emeryturę i przeniesieniu się po śmierci męża do Portugalii jej aktywność, teraz już Zielińskiej (wyszła powtórnie za mąż), nie osłabła. Nie zamknęła się w ślicznym domku pod Lizboną którego białe ściany obwieszone były starymi mapami Polski oraz kopiami listów królów polskich, wśród

wiecznozielonych aromatycznych krzewów i kwiatów, choć sprawiały jej wiele radości. Komentując kiedyś moje fotografie przysłane z Kanady, śnieg i nikłą roślinność dodała:

> […] u mnie pod samym oknem kwitnie hibiscus, a w ogrodzie szaleją nasturcje i nagietki i jakieś kwiatowe odmiany bardzo urodziwych słoneczników hodowanych dla piękności kwiatów.

Jej ulubionymi kwiatmi były fuksje. W innym liście pisała, że patrząc ze swojego okna

> […] podziwiam czerwono-fioletowe fuksje, które w tym roku oszalały i uginają się pod ciężarem kwiatów. Nazywają się ładnie po portugalsku: *„brincos de princesa”* (klejnociki księżniczki – FS). W pobliżu kwitną nagietki – nasze polskie nagietki – portugalska nazwa *„maravilhas”* trafiła do „Księcia Niezłomnego” – Słowacki ich nie utożsamił, a brzmienie nazwy mu się najwidoczniej podobało.

Choć mieszkała w Portugalii, nadal uczestniczyła w jury nagród pisarskich. Tak motywowała wybór jednego z nagrodzonych Nagrodą Kościelskich poety:

> Nagrodę emigracyjną otrzymał Bolesław Kobrzyński, autentysta, autor wierszy wojennych, od lat przebywający w szpitalu. Nagroda umożliwi przypomnienie jego twórczości, wczorajszej – to prawda, ale korzystnie odcinającej się od tradycyjnych wierszy wojennych pisanych przy biurku przez przysięgłych cywilów.

Ten szpital odwiedziłem kiedyś na zaproszenie poety Bronisława Przyłuskiego. Wśród słuchaczy był również Kobrzyński. Zabierał głos bardzo interesująco, potem mnie odprowadził do autobusu. Wtedy dopiero objawiły się jego lęki i ukazała przyczyna jego hospitalizacji. Korespondowaliśmy trochę. On mi przysyłał długie, pięknie kaligrafowane wiersze, których pisał dużo. Ja mu dostarczałem papieru i znaczków.

Wieści nadchodzące z samotni pani Marii niekiedy potrafiły zadziwić. Zakomunikowała raz takie spostrzeżenie:

> Czy zauważył Pan, że w r.1989-91 wydarzyło się coś ze wszech miar godnego uwagi, co i Pana bezpośrednio dotyczy. Prawie równocześnie, w odstępach paru miesięcy, mimo trudnych warunków wydawniczych pojawiły się „Wiatr z innej strony” Bogdana Czaykowskiego, „Niespodziewane żywoty” Jana Darowskiego, co najmniej dwa tomiki

> Bolesława Taborskiego (“Szekspir” i „Polityka”), „Jesień” Adama Czerniawskiego – a niewiele wcześniej zebrane wiersze Zmarłych Ławrynowicza i Gniatczyńskiego. Do tego trzeba dodać działalność na pokrewnych polach: Jerzego Sity jako wydawcy i Taborskiego w BBC („Sztuka nad Tamizą”). Obserwując to zjawisko dochodzę do wniosku, że stoimy wobec „powtórnego debiutu” czy renesansu grupy poetów londyńskich. Jest to zjawisko na miarę „wybuchu” twórczości Skamandrytów w 1939/40. Może mi Pan odpowiedzieć, że niektorzy wymienieni pisali i publikowali „ciurkiem” (jak się mawia w sekcji Polskiej BBC) – ale zgodzi się Pan, że najnowszy zbieg okoliczności ma swoją wymowę, zwłaszcza, że z wyjątkiem przedwcześnie zmarłych, nic nie zapowiada, by nie było dalszego ciągu (np. Busza). Dla mnie, kronikarki literatury emigracyjnej, z musu porywającej się na hierarchizowanie, jest to wydarzenie wielkiej wagi, bo w pewnym stopniu oznacza przedłużenie literatury emigracyjnej, bo przecież chcąc nie chcąc jesteście par excellence poetami i pisarzami rezprezentującymi tę emigrację i to w stopniu wyższym od wielu lansowanych przez niektóre koła (zwłaszcza w Kraju) wielkości *emigracyjnych* (Wat!).

Posyłałem jej niekiedy ciepłe jeszcze tomiki moich wierszy.. Po odebraniu „Ziem utraconych” tak do mnie napisała: „To

najlepsze Pana wiersze. Jak Staff i jak Wierzyński pisze Pan im później, tym lepiej. Zna Pan zapewne opinie o profesorach niemieckich: najlepsze prace piszą na emeryturze. Myślę, że odnosi się to – ogólnie biorąc – także do poetów a do Pana w szczególności. Gratuluję i zachęcam do 'Medytacji', podsumowania grzechów (nie) wielkiej Emigracji i nie bania się Smutku ludzkiego a Smętka narodowego. Balansuje Pan zręcznie między Tradycją a POSTmodernizmem i uchował się Pan przed 'obowiązkiem' deklarowania wierności Jungowi, Derridzie i Bachtinowi".

Zdarzało się, że jakiś pojedyńczy wiersz spodobał się na tyle, że powodował niespodziewane, obszerne komentarze.

> Bardzo mnie wzruszyło „Życie pozagrobowe". Przystaje do mojej sytuacji („Więcej wśród nas umarłych"), gdy tkwię samotnie i „przecież żyję", a mam przed sobą raptownie się zwężający margines czasu i blisko terminowe spotkanie ze śmiercią, bez gwarancji, że spotkam się z bliskimi, których widma (fantazmy?) krążą po nocach tak realistycznie, że po przebudzeniu z trudem oddzielam marę od otaczającej mnie rzeczywistości i, mimo wszystko, obcego otoczenia. A przecież nie umiem i nie chcę oddalać się stąd, a że i wiek i stan zdrowia dyktują spokojną egzystencję, więc siedzę (teraz przy otwartych na ogród drzwiach […].

Pani Maria zawsze reagowała na wspomnienie ludzi, których znała. Kiedy zmarł stryj mojej żony, Juliusz Poniatowski, napisała:

> Pana Juliusza znałam długo i dobrze. Jeszcze z czasow, gdy pisałam o Krzemieńcu i często jeździłam na Wołyń. A i w Warszawie, gdzie widywałam go najczęściej u tzw. „starego Stempowskiego". To był wspaniały człowiek.

Kiedy indziej widocznie poskarżyłem się listownie na Iwaniuka, na co nadszedł taki jej komentarz:

> Niepotrzebnie przejmuje się Pan Iwaniukiem. To bardzo nieprzyjemny facet. Miałam z nim takie przejście. Przysłał do Biblioteki tom swoich wierszy. W podziękowaniu był błąd maszynowy w nazwisku (na kopercie brzmienie było prawidłowe). Przegapiłam, podpisałam. Zareagował ordynarnym listem, a tak się złożyło, że na krótko przed tym w decydujący sposób pomogłam do przyznania mu nagrody Kościelskich, bo moi Koledzy z Jury wierszy jego (poza Jeleńskim) nie czytali. Złośliwiec zakompleksiony.

Pani Maria raz po raz zachęcała mnie do pisania do rocznika

„Antemurale” pragnąć ożywić badania na odcinku ibericów. Okazało się, że nawoływała bez skutku. Sama zaś, znalazłszy się na nowej ziemi zajęła się gorliwie luso-polonikami. Jej mąż Adam Zieliński zebrał dwadzieścia kilka utworów poetów portugalskich dziewiętmastego wieku dotyczących Polski, a wywołanych echami powstania styczniowego. Na próżno usiłowano mnie wciągnąć do współpracy. Usprawiedliwiałem się słabą znajomością portugalskiego i innymi pilnymi obowiązkami. W końcu powstały z tego 34 felietony radiowe p. Marii o luso-polonicach. W „Wiadomościach” natomiast pojawiły się bogato ilustrowane, ciekawe artykuły o Luzjadach. O ile sygnały emigracyjne były niesprzyjające (nie interesował ponoć czytelnika polskiego Camoes), z Polski nadszedł list profesora Stefana Kieniewicza, specjalisty od roku 1868 przyznający, że autor nie wiedział nic o tej fali sympatii dla Polski w Portugalii.



Maria Danilewicz-Zielińska – twórczyni i dyrektorka Biblioteki Polskiej w Londynie, fot. ze zbiorów Stanisława S. Niciei.

Także wydaniu „Mickiewiczian" towarzyszyły opaczne sygnały. Pani Maria w 1991 roku napomknęła, że „Mickiewicziana przeszły bez echa", ale sądzę, że pozostaną one trwałym świadectwem jej edytorskiego zapału. Nie była to robota wcale łatwa.:

> […] opracowanie ich kosztowało mnie ponad rok życia, ale była to praca emocjonująca i chyba celowa. Dwa dalsze lata

> pochłonęła walka z drukarniami – absurdalna, bo książka ukazała się tylko pozornie nakładem „Arkad”, a w rzeczywistości sfinansował jej wydanie dr Tomasz Niewodniczański, właściciel opublikowanych obecnie autografów i jeszcze cenniejszego „Albumu Moszyńskiego”, który wejdzie do tomu drugiego, a zawiera robocze wersje wierszy z okresu rosyjskiego, w tym sonetów krymskich. Demonstruje tam Mickiewicz swój warsztat poetycki, wielokrotne nanoszenie poprawek (nie zawsze ulepszeń) itp.

Lata płynęły. Starszy mąż wymagał troskliwej opieki. Lekarz rozkładał bezradnie ręce słuchając opowieści o symptomach choroby i mawiał *idade*, wiek! Pani Maria poczuła, że i ją wysiłek zaczął męczyć, a tyle jeszcze chciała zrobić.

Szczęśliwym pomysłem okazał się mój wypad z Sewilli do Portugalii w roku 1988, kiedy prowadziłem w tym mieście kurs języka hiszpańskiego dla grupy kanadyjskich studentów. Poprzednio odwiedziłem podlizbońską samotnię z żoną i czworgiem dzieci w roku 1975 w sam gorący czas przewrotu w Portugalii, kiedy zbuntowane wojsko i czerwone watahy przewalały się złowieszczo ulicami smarując cudowną biel domów i kościołów czerwonymi gwiazdami, sierpem i młotem. Wydawało się, że padnie demokracja. Tym razem jechałem sam autobusem przez rzadko odwiedzane zakątki Ekstremadury. Przy

tej okazji nagrałem z panią Marią rozmowę, a raczej wywiad na temat literatury emigracyjnej. Wydrukował go Giedroyć w „Kulturze” i zapoczątkował całą falę publikacji na ten nagle modny temat. Pani Maria zanotowała całą sprawę wielkodusznie:

> […] wskrzesił mnie Pan swoim wywiadem, bo otrzymałam pod jego wpływem kilka listów, w tym pretensje, że za mało kocham londyński Związek Pisarzy.

Lecz nieubłagany czas zabrał męża. O swoim domu o nazwie *Romazeiras* pisała : „[…] to obecnie jednoosobowy damski klasztor trapistów”. Nie dawała jednak za wygraną. Podjęła inny temat:

> Usiłuję pisać wspomnienia. Kujawskie dzieciństwo i młodość jakoś dały się opisać, utknęłam na obrazie Dwudziestolecia, bo im dalej w lata, tym bardziej rozgałęziają się moje sprawy i „geograficznie” powiększa świat. Wcześniej napisane fragmenty o Londynie czekają na włączenie we właściwe miejsca, a całość się nie klei i chyba nie sklei. Giedroyć uważa, że moje życie było (i jest) ciekawe, co wydaje mi się błędną oceną, bo – co zarzucili mi Bednarczykowie – nie mam za sobą doświadczeń zsyłkowych i więziennych. Myślę jednak, że niektóre moje przeżycia i

> doświadczenia wymykają się szablonom, a samotność sprzyja rewizji ocen o dawnych doświadczeniach życiowych.

Odpowiadając późno, jak sądziła, na mój list napisała:

> Tłumaczy mnie, poza karygodnym lenistwem, mój podeszły (?) wiek – przed tygodniem skończyłam 88 lat i sama się dziwię, że jeszcze żyję, czytam, piszę, a nawet występuję w telewizji.

Powróciła też do poprzedniego tematu, do sprawy wspomnień.

> Piszę wspomnienia, ale w tej wczesnej brulionowej formie jest to raczej sprawozdanie czy „curriculum vitae” niż obraz subiektywny przeżyć w różnych epokach życia: krajowej (do 1939), francusko-angielskiej i portugalskiej (już 22 lata).

Doczekawszy dziewięćdziesięciu lat przyjmowała los filozoficznie:

> Czuję się, *„as well as it can be expected”* to znaczy łamią mnie kości na zmianę ,źle sypiam, to znow gnębi mnie

> senność – co usprawiedliwia lenistwo, a margines życia przede mną stale się zwęża.

Nie narzeka na własną sytuację, pociesza innych, którzy szukają u niej pociechy. Po wizycie znajomej, która nie mogła przeboleć utraty matki, do której była bardzo przywiązana, Danilewicz-Zielińska notuje:

> Musiałam, chcąc nie chcąc, udawać psychoanalityka i zabijając własne wspomnienie tłumaczyć śmierć jako wolę Bożą, nie omijającą nikogo. W moim wieku wymaga to samodyscypliny i unikania analogii.

Szczęśliwym zrządzeniem potrafi jeszcze czytać, co robi z przyjemnością oraz „narkotyzuje się" TV Polonią. Zachwyciła się np. oglądając wystawienie „Zemsty". W sierpniu 1999 odebrała mój list z kolejnym sprawozdaniem z mojego pobytu w Polsce.

> Zazdroszczę Panu możliwości częstych wyjazdów, a w szczególności Wilna. Ja nie mogę odwiedzić nawet Włocławka, do którego ciągnie serce, ledwo łażę po domu i serce nawala (zemdlenia), nie nadaję się do podróży samolotami – a tak stąd daleko.

Kartkę napisała regularnym, pięknym pismem ręcznym, którego niewielu ludzi w życiu się potrafi dopracować.

Święta Bożego Narodzenia 2000 roku spędziła u przyjaciół w eleganckim podlizbońskim kurorcie Estoril. Mogła stamtąd podziwiać zmienne, malownicze krajobrazy oceaniczne. Pojechała ze swoją najnowsza książką „Fado o moim życiu", której egzemplarz miałem w styczniu odebrać. Było to Boże Narodzenie po wodzie. W liście z 12.01.2001 r. już po powrocie do Feijo wspominała ciężki okres pracy bibliotekarskiej w Londynie, który nie pozostawiał czasu na pisanie i że dopiero po przejściu na emeryturę i przeniesieniu się do Portugalii mogła napisać „Szkice o literaturze emigracyjnej" i eseje, które złożyły się na książkę „Fado o moim życiu".

Nie przeczuwała, że nowy rok zacznie się fatalnym załamaniem się zdrowia i że tragiczny pożar zniszczy część dokumentów jej owocnego życia. Pani Maria, Bogu dzięki, wraca szybko do zdrowia, ale nie może nie być wstrząśnięta niepowetowaną utratą książek i listów. Chciałem wierzyć, że „pustelniczka", dotknięta tak wieloma próbami i z tej wyjdzie obronną ręką.

Maria Danilewicz-Zielińska zmarła 22 maja 2003 roku w Quinta das Romazeiras w Portugalii (przy. red.).

O Marii Danilewicz-Zielińskiej:

> Portugalskie rekonesanse

Funkcje pieśni ludowych w utworach Pawła Łyska. Część I.

Edyta Korepta

Twórczość Pawła Łyska budzi autentyczne zainteresowanie w kontekście emigracyjnego regionalizmu. Jego utwory są „wielką monografią etnologiczno-etnograficzną i

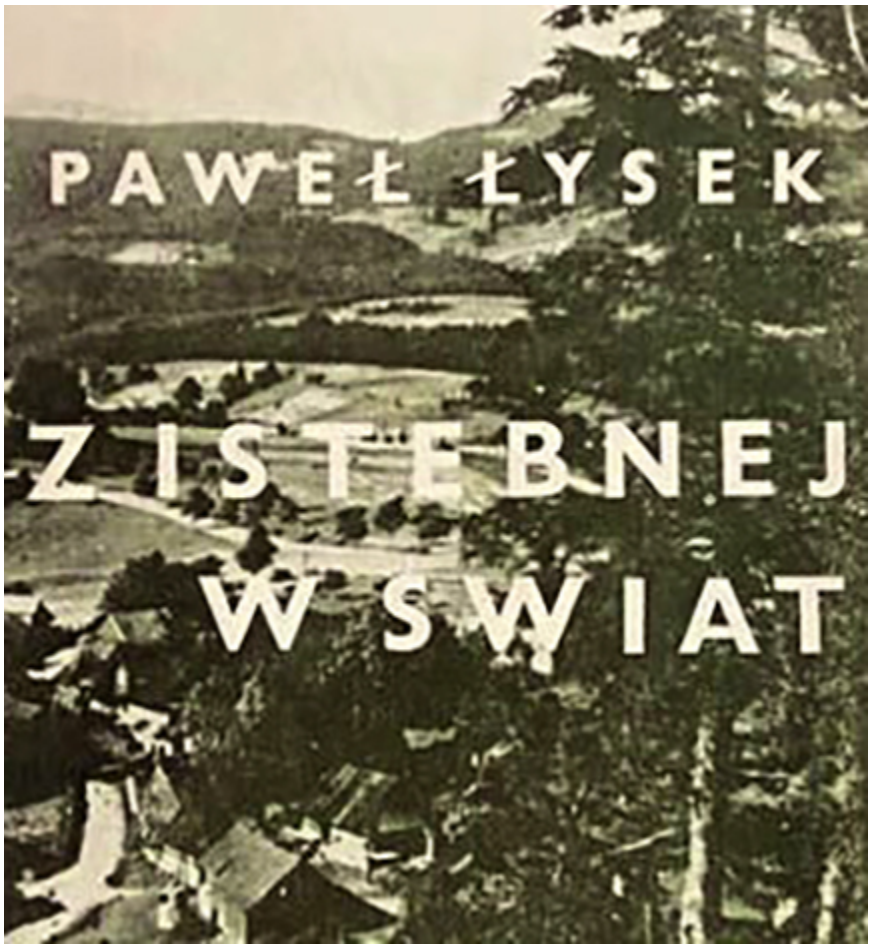
kulturową wspólnoty śląskiej, słowackiej i czeskiej na górskim pograniczu”[1].



Urodzony 27 sierpnia 1914 r. w Jaworzynce na Śląsku Cieszyńskim w rodzinie góralskiej, bratanek Jana Łyska, poety i dramatopisarza (1887 – 1915), zmarł 15 lipca w 1978 r. w Stanach Zjednoczonych pod Nowym Jorkiem, pochowany został w Istebnej, koło Cieszyna. W latach 1935-1939 studiował historię, filologię polską i socjologię na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Studia kończył w Anglii oraz w USA, dokąd wyjechał w 1949 roku. W 1951 r. pracował w bibliotece w Cleveland jako specjalista od literatur słowiańskich. Od 1952 roku był bibliotekarzem, a od 1971 wykładowcą w *Queens College w City University of New York* (od 1974 *full professor*). Prowadził również działalność publicystyczną i odczytową. Na początku lat 60. zajął się także pracą literacką, pisząc najpierw wspomnienia wojenne, a następnie powieści będące swoistym studium powieściowym opartym na folklorze górali beskidzkich. Za twórczość powieściową otrzymał w 1974 roku nagrodę Fundacji im. Kościelskich w Genewie. Był również członkiem Polskiego Instytutu Naukowego w Londynie, Polskiego Instytutu Nauki i Sztuki w Nowym Yorku oraz amerykańskiego PEN Clubu (od 1975 r.). W 1976 roku otrzymał Złoty Medal Millenium, przyznany przez Polsko–Amerykańskie Stowarzyszenie Lekarzy

„Medicus”. Był również inspiratorem kontaktów Polonii amerykańskiej z Cieszynem. W 1977 r. przeszedł na emeryturę. Zmarł w Huntington pod Nowym Jorkiem, pochowany został zgodnie ze swoim życzeniem na cmentarzu w Istebnej.

Jest autorem dwóch powieści autobiograficznych p.t. *Z Istebnej w świat* (1960) i *Poszło na marne* (1965) oraz powieści *Przy granicy* (1966, przekład angielski *At the Border,* 1978), *Twarde żywobycie Jury Odcesty* (1970), *Marynka, cera Gajdosza* 1973), *Jano i jego zbójniccy kamraci* (1977).

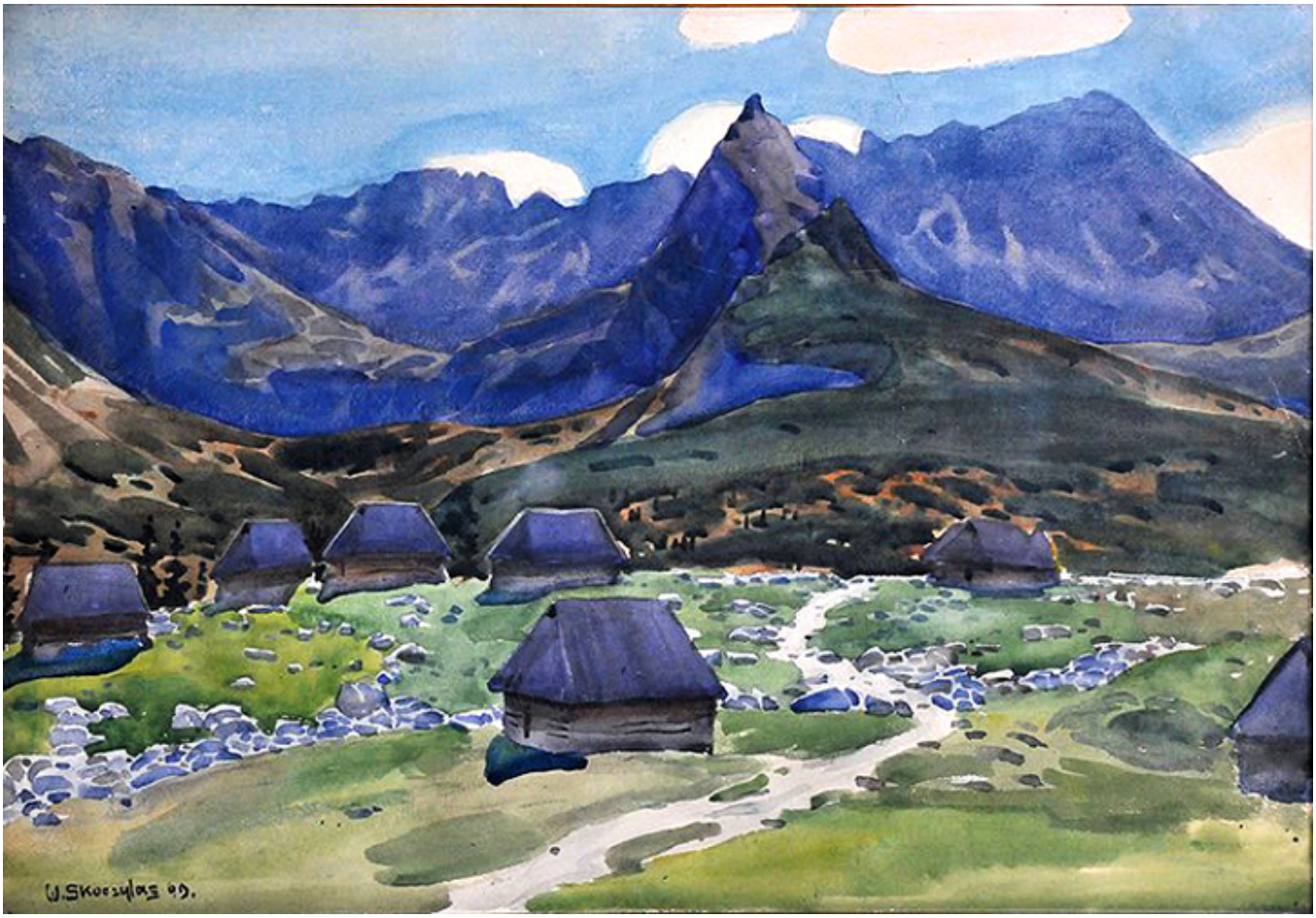


Treścią jego utworów jest szeroki obraz życia górali beskidzkich na przełomie XIX i XX wieku, które znał z autopsji, w tym bowiem środowisku się wychował. Utwory napisał na emigracji i to wiele lat po wyjeździe z kraju. Nasuwa się więc pytanie o ich genezę w kontekście poczucia tożsamości. Odpowiadając na nie w oparciu o stereotypowe myślenie romantyczne osadzone na Mickiewiczowskim „widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie", można potraktować twórczość Łyska wspomnieniowo oraz jako dopełnienie pisarstwa kresowego, uzupełniając je o „kresy południowo – zachodnie"[2]. Ale gdyby sięgnąć głębiej – to może nasuwać się refleksja o konstruowaniu przez Łyska określonych tekstów narracyjnych dla zrozumienia tego „kim jestem?", co służy określeniu własnej tożsamości związanej nierozerwalnie ze wspólnotą, z jakiej człowiek się wywodzi. „Dla człowieka posiadać tożsamość znaczy coś więcej niż tylko być; mieć tożsamość znaczy: nieustannie powtarzać, a w ten sposób potwierdzać i umacniać akt autointerpretacji"[3].

Rozumowanie powyższe prowadzi do narracyjnej koncepcji tożsamości, związanej nierozerwalnie z poczuciem dobra; z doświadczeniem stale bywa konfrontowana również orientacja moralna: „To, kim jestem, musi być rozumiane jako to, kim się stałem. Aby dokonać własnej oceny, musimy spojrzeć zarówno wstecz, jak i przed siebie. Chodzi o to, że jako istota, która rozwija się i staje, mogę znać samego siebie tylko poprzez moją historię dojrzewania i regresji, historię zwycięstw i klęsk. Moje

samorozumienie ma z konieczności wymiar czasowy i opiera się na narracji”[4].

W oparciu więc o powyższą teorię można interpretować przyczynę powrotu Łyska do „kraju lat dziecinnych” jako potrzebę sięgania do zbiorowego doświadczenia znanej z przeszłości kultury społeczności beskidzkiej, której był uczestnikiem w tym celu, by „zrozumieć”[5].



Władysław Skoczylas, Hala Gąsienicowa, akwarela, 1909 r., Muzeum Tatrzańskie w Zakopanem.

Narracja Łyska ma zatem charakter prawdziwych opowieści,

pogłębionych poprzez krajobraz, autentyzm budowli, kościołów karczm, chat. *Mimesis* u Łyska wspomagają opisy ludowych zwyczajów, obyczajów i obrzędów, w których zamieścił liczne pieśni ludowe. Wnikliwa ich analiza pozwoli określić spełniane przez nie funkcje.

Można je globalnie podzielić na dwie kategorie: artystyczną oraz tę, która przedstawia określoną wizję świata. Obraz rzeczywistości w pieśniach ludowych cechuje subiektywizm oraz ukształtowanie świata w myśl reguł mitologicznych[6].

Wraz z kontekstem pieśni tworzą określone mity, np. mit zbójecki żywy w środowisku opisywanym przez Łyska. Wyrażał tęsknotę określonej grupy społecznej, tj. ludzi mieszkających „na dziedzinie" (na wsi) do innego, sprawiedliwszego życia. Bohaterami stawali się zbójnicy już utrwaleni w krążących przypowieściach (Janosik, Ondraszek) jak i nowi, wokół których powstawały nowe opowieści. Mit o zbójnikach wyraźnie poruszał się w sferze ludyczności, krążyły o nich pieśni. Przede wszystkim imponował bogaty zbójnicki strój: serdak wyszywany złotem i srebrem, jedwabna koszula złotem haftowana szeroki pas zdobiony złotem, wykończony srebrem, „złotem wyszywane piękne parzenice". Podziwu godna była również jego broń: ciupaga, pistolety, karabin. Pointa tych pieśni wyraźnie korespondowała z psychologiczną motywacją skłaniającą młodzieńców do wstępowania w zbójeckie szranki:

…Gdzież są twoje szaty?

Gdzież twój łańcuch złoty?

Gdzie są pasamony,

Husar prymowany

I kabot czerwony/

Gdzie pasy bogate

I janczary złote?

Gdzie są nogawice,

I srebrne babice,

Białe rękawice?

Gdzie masz cyżmy żółte,

Przy nich wstążki złote,

Gdzie strzębki iskrzące,

> Ostrogi brzęczące?**[7]**

Pieśni wprowadzały również sytuacje narracyjne; zbójnicy, którzy wdarli się do karczmy, aby zdobyć konie bogatego, nielubianego karczmarza, przeprowadzają całą akcję, wydając polecenia w formie śpiewanej:

> Idźcie do masztali,
>
> Sóm tam kónie branne,
>
> Sztirzi sebie osiodłejcie,
>
> Ale piónty dlo mnie…**[8]**

Na zakończenie akcji sypnęli zalęknionym biesiadnikom dukatami, by ci dalej mogli się bawić i zaśpiewali:

> Tańcuj sobie tańcuj,
>
> Kelnereczko tłusta,
>
> Bo usz twoja komoreczka

> i masztolka pusta!**[9]**



Władysław Skoczylas, Janosik, drzeworyt, Muzeum Żup Krakowskich w Wieliczce.

W pieśniach krążyły również opowieści o Janosiku i jego dziejach. Stanowił on wzorzec osobowy dla wielu młodych górali, którzy żyjąc w ubóstwie i bez zajęcia, fascynowali się ideą walki o sprawiedliwy podział majątku między biednych. W pieśni ludowej mit zbójecki odżywał i wzbogacał się, a bohaterstwo zbójników stawało się mitem, ich walory podkreślało

bohaterstwo czynów, zdobywane bogactwo, a także śmierć, najczęściej na skutek zdrady, a zbójnikiem godnym najpiękniejszych pieśni był Janosik. Naśladowali go również beskidzcy zbójnicy, a pieśni śpiewali Słowacy, co integrowało wielokulturowe społeczeństwo:

> Hej, hore haj, hore hajom chodnik,
>
> Mój otec bol dobry, ja musim byt’ zbojnik;
>
> Ka musim byt’ zbojnik, bo krivda velika,
>
> Nepravost’ u panów, pravda u zbojnika**[10]**.

Pieśni zbójnickie tworzyły zatem określone narracje, włączały się w rytuał codziennego życia i zabawy w karczmie, zbójnicy uzasadniali swoje czyny, pieśń wprowadzała ponadto nastrój grozy. Opowiedziane pieśnią wydarzenia nie tylko oddały nastrój sytuacji, ale również stały się tematem określonego fragmentu powieści (epizodem). Realizowały także dążenia ludzi do wolnego sprawiedliwego świata. W pieśniach wyrażana była ponadto desperacja młodych górali, którzy wybierali zbójnikowanie, aby uchylić się od służby wojskowej w obcym dla nich państwie.

Łysek wprowadzał niejednokrotnie fabularyzowane pojedyncze

pieśni tworzone w konwencji ballady. Jako przykład może służyć pieśń o młodym zbójniku pojmanym przez austriackich żołnierzy. Zbójnik – Jasineczek nie ujawnił miejsca, gdzie przechowywał zdobyty majątek, nie obawiał się śmierci, wyraził jedynie życzenie, by na miejsce stracenia odprowadziła go ukochana. Przed egzekucją Jasio – zbójnik – bohater, który „bogatym odbierał, a biednym rozdawał", zatańczył jeszcze „zbójnickiego" i „on se jesce tam wypolił cały funt tabaku, hej".

Tragizm owej sytuacji wyrażonej w pieśni spotęgowała dosłowność, ale również pozorna niespójność wiersza, ponieważ słuchacz, odbiorca został postawiony niejako przed koniecznością rekonstrukcji rozumienia wynikającego z tradycji, co nie mogło stanowić trudności, gdyż historia o zbójnikach funkcjonowała w świadomości beskidzkich górali.



Władysław Skoczylas, Pochód zbójników, drzeworyt kolorowany, 1920 r., Muzeum Narodowe w Warszawie.



Władysław Skoczylas, Zaloty, drzeworyt kolorowany, 1922 r., Teka Podhalańska, rycina nr 3.

Narracyjność pieśni była przez Łyska zamierzona; wierszowane opowiadanie trafiało do odbiorców, o czym sam autor pisał: „Poszczególne pieśniczki – bojtki splątane były ze sobą jak ten warkocz niewieści, który gdy spleciony, wydawał się całością, ale po rozpleceniu stawał się tylko poszczególnymi pasmami włosów. Gdy opowieść tę śpiewano, zmieniano gdzieniegdzie nutę i całość rozpadała się jakby na poszczególne pieśni. Ważniejsza od melodii i taktu była treść poszczególnych zwrotek, składających się na dzieje młodego zbójnika”[11].

Narracyjny charakter w dużej mierze cechowało pieśni weselne,

towarzyszyły one całej ceremonii zalotów, swatów i zaślubin. Pan młody, gdy pochodził z zamożnej rodziny cieszącej się uznaniem wśród mieszkańców wsi, był witany pieśnią podkreślającą jego zalety:

> To stańkowskie pole pieknie poorane,
>
> Powiadajóm ludzie, że je malowane:
>
> To stańkowskie pole jest piekno równina,
>
> Wychowała na nim matka swego syna.
>
> Wychowała go tesz siedmiorakiej krasy:
>
> Ocziczka czorniutkie, pokręcone włosy.
>
> Wykarmiła go tesz owiyjziom polywkóm,
>
> Ale go nie dała istebniejskim dziywkóm**[12]**.

Uroda syna o czarnych oczach, tj. o typowej urodzie górali beskidzkich, stanowiła często powtarzany w pieśniach motyw.

W dniu zaślubin weselnicy pana młodego jechali po pannę młodą i gdy widzieli z daleka jej dom, śpiewali:

> Dziyweczko miła, synek cie woła,
>
> Byś nie była pyszna, a ku niymu wyszła**[13]**.

Rozpoczynała się wierszowana rozmowa – targ o dziewczyny, domownicy podsuwali inne panny, w końcu zjawiała się panna młoda. Wzruszająca jest pieśń pożegnalna panny młodej z matką:

> Żegnaj mie, mamulko, prawóm rynkóm na krziż,
>
> Bo usz ostatni ros na mój winiec patrzisz**[14]**.

Córka dziękuje matce za opiekę, wychowanie, ojcu chrzestnemu i pozostałym domownikom za przyjaźń i miłość. Przed kościołem orkiestra grała pieśń „Kto się w opiekę", a uroczystości kościelnej towarzyszyły poważne pieśni religijne, których autor nie przytoczył.

Zabawa weselna odbywała się w karczmie Tańcom wtórowały pieśni żartobliwe, będące również odzwierciedleniem toczących

się wydarzeń – np. oczepin, gdy panna młoda wchodziła w świat dorosłych. Obrzędowi przebiegającemu według określonego rytuału towarzyszyły pieśni uzupełniające fabułę. Oddawały w sposób szczegółowy, dosłowny wydarzenia; odstępstw od tej gry nie było:

> Pomalutku rozplotejcie,
>
> Włoseczków mi nie targejcie;
>
> Mamulka mie czosywali,
>
> Włoseczków mi nie targali**[15]**.

Zachowania bohaterów owej gry, podniesione w niektórych elementach do roli *sacrum*, były z góry ustalone i wyuczone: przy zdejmowaniu wianka panna młoda płakała, a pokolenie osób starszych, doświadczonych wygłaszało uznane prawdy pod adresem młodych:

> Ty Halżiczko, ty nasza,
>
> Jak apostoł ogłasza,

> Że miłość do małżónka
>
> Wiyncej oznacza!**[16]**.

W czasie oczepin wygłaszano wróżby dotyczące szczęścia młodych, wyglądu ich dzieci oraz zasobności w przyszłym gospodarstwie domowym. Rytualne pieśni towarzyszące obrzędom weselnym sugerowały również możliwość wpływania na przyszłość.

Ów „teatr w teatrze” zbliżał się ku końcowi, wszyscy nadal jednak będą uczestniczyć w zabawie do samego rana, w której tańce przeplatały przyśpiewki „często na poczekaniu improwizowane i stosowne do sytuacji”[17]. Tę zaczarowaną noc kończyła pieśń pana młodego:

> Ani piwa, ani wina, ani gorzołeczki,
>
> Nimogym się namiłować mej młodej babeczki**[18]**.

Dalszy ciąg owej gry stanowiły „poprawiny”, których przebieg ilustrowały pieśni tworzące specyficzny układ fabularny. Swoistość owych pieśni o charakterze narracyjnym polegała na ciekawej łączności z tekstem opowiadanym, co potwierdza fakt,

iż pieśń wnikała głęboko w strukturę całego tekstu Łyska. Ponieważ poezja ta, mimo fabularności miała charakter meliczny, wraz z opowiadaną treścią stanowiła interesującą całość.



Władysław Skoczylas, Taniec nad ogniem, drzeworyt kolorowany, Muzeum Żup Krakowskich w Wieliczce.

Pieśni zawarte w tekstach Łyska ukazywały więc życie mieszkańców Trójwsi usytuowane w kulturze, stanowią specyficzną formę *mimesis* – gdzie tekst został odniesiony do świadomości odbiorcy. Owe teksty „rozwijają" swój świat przed odbiorcą, informują o nim, ale każą równocześnie uczestniczyć we wskazanym systemie wartości[19]. Naczelną cnotą wyrażaną

między innymi w pieśniach zdawała się być pracowitość. Cały dzień wypełniony był pracą, o czym śpiewano również przy żniwach:

> Wstóń, syneczku, z rana,
>
> Dej kóniczkóm siana,
>
> Użeś się móg wyspać
>
> Przez noc asz do rana.
>
>
>
> Wstowejcie, dziyweczki,
>
> Zabierejcie siyrpeczki:
>
> Zeżnijcie, powiójście
>
> Ostatnie snopeczki**[20]**

Negatywnie oceniano lenistwo, które wytykane było jako jedna z najgorszych wad, a przesypianie poranka stawało się przedmiotem szczególnej kpiny. Pracowitości wymagano

zarówno od mężczyzn jak i kobiet, co znalazło odzwierciedlenie w treści piosenki:

> Tako baba się nie godzi,
>
> co po izbie darmo chodzi;
>
> ej, chodzi, chodzi próżniokuje
>
> i obuwie darmo psuje
>
> A jak rano zacznie warzić,
>
> to się zacznie ji niedarzić;
>
> ziymnioki się nie dowarzóm,
>
> gałuszki się ji przziwarzóm.
>
> A jak przidzie ku bydlóntku:

> Tósz tam pełno nieporzóndku:
>
> słómy pełno pod nogami,
>
> gnoju do kolana na ni**[21]**.

W pieśniach wyrażano również szacunek dla rodziców i osób starszych. Rodzicom należało podporządkować się bez reszty.

Pieśni odzwierciedlały często sytuacje, w których niezamężna dziewczyna zostawała sama z dzieckiem. Określona przezwiskiem „zowitka” nie miała żadnych szans na ułożenie sobie godziwego życia, a ponadto stawała się przedmiotem pośmiewiska.

Wśród nakazów moralnych obok indywidualnych znajdowały się wzorce zachowań zbiorowych, związanych z tradycją i umiłowaniem ojczyzny, ale tej bliskiej, lokalnej:

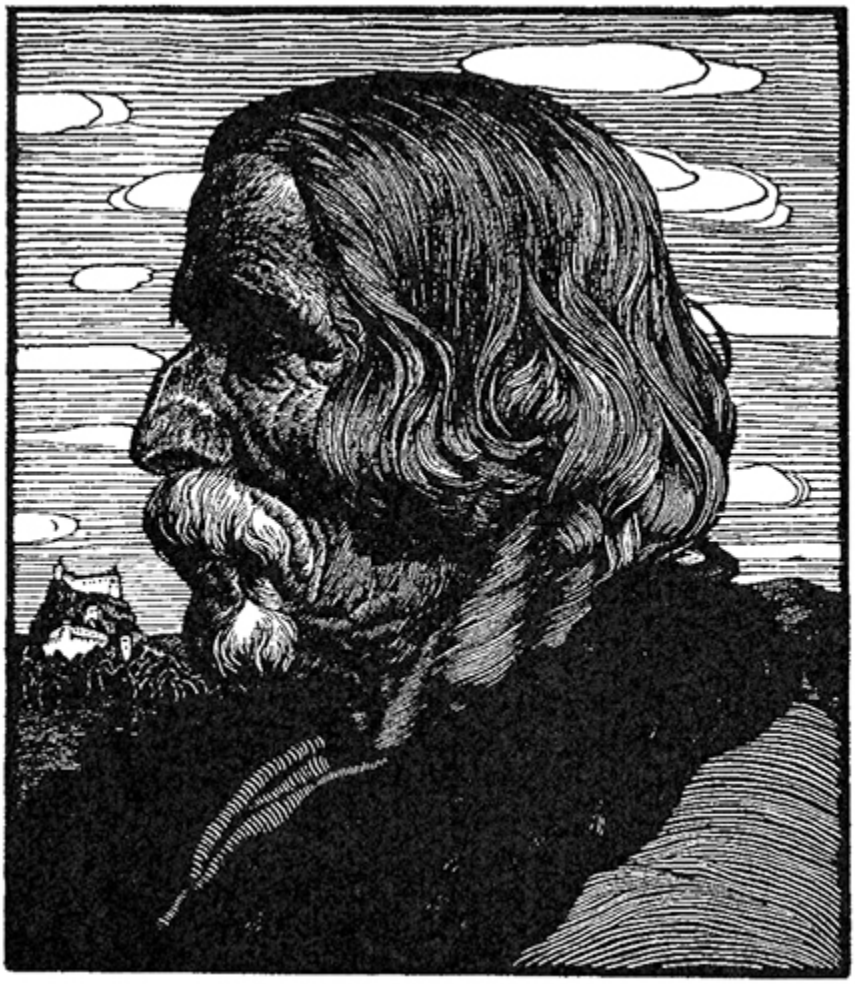
> Jestem śląskie dziecko, Boże, Tobie chwała,
>
> Śląska ziemia nasza mie tu wychowała;

> I os śląskiej matki do niej miłość brałem,
>
> Od ojca Ślązaka przykład otrzymałem.
>
> Jestem śląskie dziecko i Ślązakiem zginę,
>
> Kocham śląską ziemię i śląską krainę.
>
> Kocham to, co nasze, jako mi Bóg miły,
>
> Choćbym miał wysączyć krew z ostatniej żyły**[22]**.

Pieśń powyższą zamieścił Łysek pod koniec obrzędu weselnego, podkreślając tym samym rolę rodziny w pielęgnowaniu przede wszystkim poczucia tożsamości lokalnej, ale również tożsamości narodowej – na zakończenie uroczystości zebrani w bardzo licznym gronie biesiadnicy odśpiewali „Boże, coś Polskę", dając wyraz uczuciom narodowym. Pieśń tę autor nazwał polskim hymnem narodowym.

W tekstach Łyska zachowania bohaterów wynikające z wątków

fabularnych zostały zwerbalizowane w formie pieśni, a więc w „uświadamianych” zakazach i nakazach. Funkcją pieśni było zatem utrwalanie wzorców aksjonormatywnych.



Władysław Skoczylas, Profil górala, drzeworyt, Muzeum Żup Krakowskich w Wieliczce.

Pieśni wykorzystane w tekstach stawały się odbiciem ludzkich, codziennych przeżyć, głównie miłosnych, poprzez które autor rekonstruował świat, tworząc specyficzną jego stylizację. Można powiedzieć, że około 150 pieśni, które zamieścił w swojej trylogii beskidzkiej to jedna wielka pieśń o miłości złożona z pieśni –

zdarzeń konstruujących miłosną fabułę. Lud bowiem, jak wynika z przekazu autora, najchętniej wyrażał swoje uczucia w pieśni. Dlaczego miłość stawała się głównym tematem wypowiedzi lirycznej górali? Mieli na nią mało czasu i często pozostawała w świecie marzeń.

W centrum pieśni śpiewanych z różnorodnych okazji najczęściej pojawiali się kochankowie: on i ona młodzi i piękni. Ich uroda stanowiła zasadniczy atrybut miłości, chociaż na drodze do szczęścia najczęściej stawało ubóstwo jednego z kochanków. Często więc śpiewano o miłości nieszczęśliwej, nieodwzajemnionej. Przyczyną cierpienia stawała się również służba wojskowa chłopaka, która trwała kilka lat i perspektywa czkania, tęsknoty budziła żałość. Stałe gesty, typowe słowa i stereotypowe obrazy, jak osiodłany koń, zapewnienie powrotu, dochowania wierności, obietnica pisania listów oraz stały motyw wyrażany w słowach: „ty będziesz płakała, jo nie bedym słyszoł" podkreślały głębię uczuć. Czasem młody chłopak godził się z myślą, że jego ukochana nie dotrzyma wierności i polecał ją łasce Boga. Pożegnania nie należały do łatwych, towarzyszyły im określone słowa: mój miły kochany oraz uczucia niepokoju, żałości niewysłowionej, czasem pogodzenia się z losem.

Bardzo często powodem nieszczęśliwej miłości był brak zgody na związek młodych. Motywy rodzicielskiej decyzji nie zawsze były jasno sformułowane, ale, jak wspomniano wyżej, autorytet

rodziców wymagał bezwzględnego honorowania ich zdania. Najczęściej przyczyną rozstania stawało się ubóstwo jednego z młodych. Biedne dziewczęta bywały świadome beznadziejnej sytuacji, ale i tak często godziły się na potajemne spotkania. Pozostawał płacz, samotność, której metaforą stawała się ścieżka – wydeptane miejsce potajemnych spotkań, księżyc, niemy ich świadek; bogate było nazewnictwo uczuć a także gest, często symboliczny: konie pod okienkiem, wystawanie pod okienkiem, klucz od „serduszka".

Pieśni najczęściej mówiły o biednej dziewczynie, jej „chudobność" stała na drodze do małżeństwa. Ale pojawia się i biedny chłopak, staje się niejednokrotnie przedmiotem kpin, ma bowiem „gaciska z dziurami", „cygańskie łachmany". Ubogi chłopak nie miał w ogóle szans na zdobycie bogatej dziewczyny w odróżnieniu od pracowitej dziewczyny, która wraz z urodą mogła czasem spełnić oczekiwania.



Władysław Skoczylas, Pejzaż, drzeworyt, Muzeum Żup Krakowskich w Wieliczce.

Często miłość niweczyła intryga zawistnych ludzi i ukochany nie mógł przyjść, ponieważ mnożyły się przeszkody symbolizowane poprzez lejący deszcz, drogę nie do przebycia.

Niespełniona, nieszczęśliwa miłość była szczególnie bolesna, gdy nie zewnętrzne warunki utrudniały spełnienie; one jakoś zawsze tłumaczyły oddalenie, pozwalały łatwiej pogodzić się z losem. Trudniejsza do przeżycia była zdrada. Wówczas treść pieśni wyrażała rozstanie; dziewczyna najczęściej rezygnowała z takiej miłości, mimo że „dniem i nocą kochała”, nie tak prędko znów da się zwieść. Pieśni te nazywają bogactwo uczuć i przeżyć; to

zazdrość, podejrzliwość, zagubienie, niestałość, rozpacz, żal młodości, nadzieja, czasem westchnienie do Boga.

Jest w pieśniach również miłość spełniona, chociaż w ogóle nie za dużo się mówi o uczuciach szczęścia. Tematem bywa często wyznanie miłości w słowach radości, gdy na przykład oboje kochankowie są pasterzami i wypasają bydło „niedaleczko", smutniej i bardziej sentymentalnie, gdy dzielą duże odległości. Chłopcy pytają o wzajemność, zapewniają o uczuciu, wyrażają ochotę na spotkanie, a przede wszystkim pragną uzyskania zgody rodziców na małżeństwo, które ma być idealnym dopełnieniem miłości. Taka miłość nosi znamiona społecznej i kulturowej akceptacji.

Bohaterów lirycznych pieśni przytaczanych przez Łyska znamionuje specyficzna forma uzewnętrzniania uczuć, które rzadko pozostają w wewnętrznym świecie bohaterów, bywają wyznawane, często w formie dialogu. Cechuje je duży sensualizm i towarzyszy często przyroda, co potwierdza nierozerwalną więź człowieka z przyrodą. Nieszczęściu, rozpaczy towarzyszyła natura:

> Skało, moja skało,
>
> czymuś nie pynkała,

> dy jo się z kochankym
>
> rozłączyć musiała?
>
>
>
> Ach, Boże, mój boże,
>
> boli mie tejż serce,
>
> podziwóm się na hore,
>
> to się mi płakać chce!**[23]**

A piękna słoneczna pogoda również mogła potęgować smutek na zasadzie kontrastu z charakterem przeżyć:

> Świeci jasne słoneczko
>
> Zasmucóne moji miłej serduszko**[24]**.

Pieśni miłosne zaprezentowane przez Łyska pełnią więc bardzo ważną funkcję w utworze: ukazują egzystencjalną sytuację człowieka, który mimo trudnego „żywobycia” i bardzo uciążliwej

pracy na mało rodzajnej ziemi górskiej, znalazł miejsce na głębokie uczucia, wyrażane zarówno w oddzielnie zamieszczanych pieśniach, jak i tych, które wiązały się w określony model fabularny wraz ze zwyczajami, obyczajami oraz obrzędami. Wyrażały emocjonalność człowieka w formie dosłownej, bez niedopowiedzeń.

Druga część artykułu ukaże się w czwartek, 31 stycznia 2019 r.

O Pawle Łysku:

> Piewca Beskidu Śląskiego. Paweł Łysek (1914-1978).

Drzeworyty Pawła Stellera:

> Drzeworyty Pawła Stellera

---

[1] J. Kolbuszewski, *O twórczości Pawła Łyska,* „Annales Silesiaę" volume XVIII 1988, s. 109.

[2] Tamże, s. 112. J. Kolbuszewski zestawia twórczość Łyska z pisarstwem Stanisława Vincenza i nadaje jej dodatkowe znaczenie polityczne w zakresie narodowych tendencji emigracji polskiej na zachodzie. Autor sytuuje pisarstwo Łyska równolegle z dziełem Vincenza *Na wysokiej połoninie* i nadaje mu podobne znaczenie w rozbudzaniu narodowych zainteresowań wśród emigracji. Jest, podobnie jak dzieło Vincenza, epicką monografią regionu wraz z opisem złożonych stosunków w społeczeństwach wielokulturowych. Kolbuszewski stwierdza: „Jak dla Vincenza Huculszczyzna stała się swoistą arkadią, tak i arkadyjska jest wizja góralszczyzny beskidzkiej u Łyska. Można zatem uznać jego powieści za swoiste pendant do prozy Vincenza".

[3] A. Bielik – Robson, *Źródła romantycznego modernizmu Charlesa Taylora. Wstęp* [w:] Ch. Taylor, *Źródła podmiotowości. Narodziny tożsamości nowoczesnej,* tłum. M. Gruszczyński, O. Latek i in., Warszawa 2001, s. XXXIV.

[4] Ch. Taylor, *Źródła podmiotowości. Narodziny tożsamości nowoczesnej,* tłum. M. Gruszczyński, O. Latek i in., Warszawa 2001, s. 95 i 100.

[5] K. Rosner, *Narracja, tożsamość, czas,* Kraków 2003, s. 13 i

131. Autorka powołuje się na teorię Ricoeura: „Zdaniem Ricoeura natomiast, narracja to kody tekstowe wypracowane przez kulturę; sięgamy do nich, by nadać formę i rozumieć nasze doświadczenie” (s. 131).

[6] J. Bartmiński, *Folklor – język – poetyka,* Wrocław – Warszawa – Kraków 1990, s. 12.

[7] P. Łysek, *Jano i jego zbójniccy kamraci,* Londyn 1977, s. 15.

[8] Tamże, s. 17.

[9] Tamże, s. 18.

[10] Tamże, s. 202.

[11] Tamże, s. 26.

[12] P. Łysek, *Przy granicy,* Londyn 1966, s. 79.

[13] Tamże, s. 80.

[14] Tamże, s. 86.

[15] Tamże, s. 94.

[16] Tamże, s. 95.

[17] Tamże, s. 96.

[18] Tamże.

[19] Por. Z. Mitosek, *Mimesis. Zjawisko i problem,* Warszawa 1997, s. 165.

[20] P. Łysek, *Przy granicy,* s. 118.

[21] P. Łysek, *Twarde żywobycie Jury Odcesty,* op. cit., s. 142.

[22] P. Łysek, *Marynka, cera gajdosza,* Warszawa 1982, s. 113.

[23] P. Łysek, *Przy granicy*, op. cit., s. 54

[24] Tamże, s. 47.

Kapuściński był jak znikający punkt...

Książka Marka Kusiby o Ryszardzie Kapuścińskim



Marek Kusiba (z lewej) z Ryszardem Kapuścińskim przed domem rodziny Connable (w roku 1920 mieszkal tam Ernest Hemingway), 2 grudnia 1996 r. podczas wizyty reportera w Toronto z okazji otrzymania Nagrody im. Turzanskich), fot. D. Kuprel.

Roman Sabo-Walsh

Kim jest reporter? Człowiekiem słuchu i człowiekiem spotkań.

W 2018 r. ukazała się książka o spotkaniach i słuchu dwóch reporterów – Mistrza Kapuścińskiego i czeladnika Kusiby[1]. Zapytałem autora o ten tytuł. Wyjaśnił: – Z daleka dlatego, że pisałem tę książkę z oddalenia, z Kanady, i z perspektywy północnoamerykańskiej oraz obecności Kapuścińskiego na tym kontynencie, obecności literackiej w przekładach i wywiadach, tudzież spotkaniach z czytelnikami (bywał często w Nowym Jorku, Toronto, czy w Kolumbii Brytyjskiej, gdzie mieszkają jego siostra i córka); a z bliska dlatego, że znałem go osobiście, przez wiele lat się przyjaźniliśmy i często rozmawialiśmy, a rozmowy notowałem, z tych notatek i wspomnień powstała ta książka.

„Pisałem ją długo, praktycznie przez cały okres znajomości z Ryszardem" – wyznaje Kusiba we Wstępie. Czego uczeń nauczył się od mistrza? Konkretu frazy, szacunku dla czytelnika, któremu należy się wywód klarowny oraz duża doza zaufania, gdyż będąc inteligentnym, pojmie. Jak również pięknej sztuki uhonorowania hierarchii – w tej książce od początku do końca wiadomo, komu należny jest szacunek i kto oraz dlaczego ten szacunek okazuje.

Otwarcie „raptularza" spotkań autora z twórczością Kapuścińskiego jest reportażem – sprawozdaniem z lektury tekstów opowiadających przy pomocy doniesień z dalekiej Afryki o rzeczywistości ustrojowej Polski z lat sześćdziesiątych. Kusiba

przypomina, że kontekstowe pisanie było cechą szczególną Ryszarda Kapuścińskiego na długo przed *Cesarzem*, sugerując zapewne, że przez wszystkie 50 lat swoich peregrynacji po świecie Kapuściński trzymał się zasady objaśniania Polski przez świat i poznawania świata przez szczególny pryzmat swojej polskiej wrażliwości. A przy okazji powstaje tekst o peerelowskich latach przeżytych przez ucznia, studenta, młodego reportera, zakotwiczony przez Kusibę w konkretnym języku, z odtworzoną specyfiką fraz, pojęć, zdarzeń i przemian. Otwierający klamrę opowieści o demoralizujących praktykach studenckich lat sześćdziesiątych, domykający ją fragmentami reportażu Kapuścińskiego z Nowej Huty – czternaście lat po Ważyku, Kapuścińskim, sytuacja robotnika jest nadal taka sama – praca nie ma sensu, demoralizuje, jest harówą.

Kim jest Reporter?

> Piszę tę książkę, bo chcę się podzielić z Czytelnikiem spotkaniami i rozmowami z Ryszardem Kapuścińskim. Ale muszę się do czegoś przyznać: ja nadal niewiele o nim wiem. Skrywał, zatajał, chronił swoje prywatne życie, nie dawał się poznać, nie zwierzał się nigdy, choć są w naszych spotkaniach wymowne momenty. Był zdyscyplinowanym wykonawcą narzuconych sobie nakazów, zakonnikiem własnej ostrej reguły i klauzury[2].

Kapuściński nigdy nie dał się nikomu namówić na wywiad-rzekę. Jednocześnie sugerował młodszemu reporterowi, że właśnie napisany przez niego tekst będzie świetnym początkiem książki o… Kapuścińskim. I napominał – tylko jeszcze nie teraz, jeszcze za wcześnie. Pojętny uczeń, który przewertował i przemyślał wszystko, co o Mistrzu napisano, milczy na temat tych, którzy myśląc, że wiedzą bardzo dużo, albo i wszystko o reporterze, układali sążniste teksty, włącznie z pseudo-biografią.

Kim jest uczeń? Reporterem o karierze, piszę to bez przesady, przerwanej w tym słynnym decydującym momencie fotografika Henri Cartier-Bresson'a, przez urzędników ubeckiego PRL-u. „Rozmowy ostrzegawcze" służby bezpieczeństwa w stanie wojennym miały taki, mniej więcej, przebieg: *Pan wie, panie redaktorze, że my wiemy, gdzie jest pańska żona, która właśnie ma zamiar przejść na drugą stronę ulicy, pan wie, tam gdzie zawsze taki wściekły ruch, i gdzie samochód mógłby się nie zatrzymać przed przejściem dla pieszych, którym żona pana redaktora właśnie przechodzi na drugą stronę ulicy pchając przed sobą wózek z dzieckiem…*

Z owocnego trudu lektury tekstów ucznia aż po rok 1984, przełomowy rok emigracji do Kanady, wynika co następuje: Kusiba zaczynał swoje reporterskie życie jak wszyscy – od dobrych chęci, patosu przedstawień, słów czasem zbyt wielkich, moralizujących konstatacji. Kończył, będąc reporterem

białostockich „Kontrastów” i „Gazety Współczesnej”, stylem prostym, nośnym, stawiającym fakt i sprawozdanie przed fanaberiami reportażysty. Byłby reporterem klarownym, inteligentnym, spostrzegawczym, uczciwym, trzeźwo przedkładającym fakty nad emocje, empatię nad obojętność. Ciekawym przedmiotu opisu, troskliwie układającym opis ze słów nośnych, zdań solidnych, wieści godnych uwagi i dokładnie sprawdzonych. Czyli reporterem, który po latach przerwy, uprawiania różnych poletek piórem – szczególnie felietonowego – wraca jako autor reportażu biograficznego i autoreportażu zarazem *Ryszard Kapuściński z daleka i z bliska*, którego bohaterem jest reporter, świat, i obopólne oddziaływanie.

Świat zmieniający się na naszych oczach. Do niepoznania? Czy do zrozumienia? Kusiba opisuje ciekawy wyjątek z tego nowego świata, torontońską bibliotekę uniwersytecką, wielką betonową bryłę w samym centrum miasta, znienawidzoną np. przez węgierskiego poetę na wygnaniu w Kanadzie, Georga Faludy. Bryła bryłą, nieadekwatna klimatyzacja, za to dostęp do wszystkich półek i godziny otwarcia od wczesnego rana do 24-tej. Kapuścińskiego uderzył

> Wygląd tłumu studenckiego. Toronto? Ależ jestem raczej w Pekinie czy w Seulu, w Tokio, w Singapurze, w Kuala Lumpur […]. Azja opanowała wyższe uczelnie Nowego

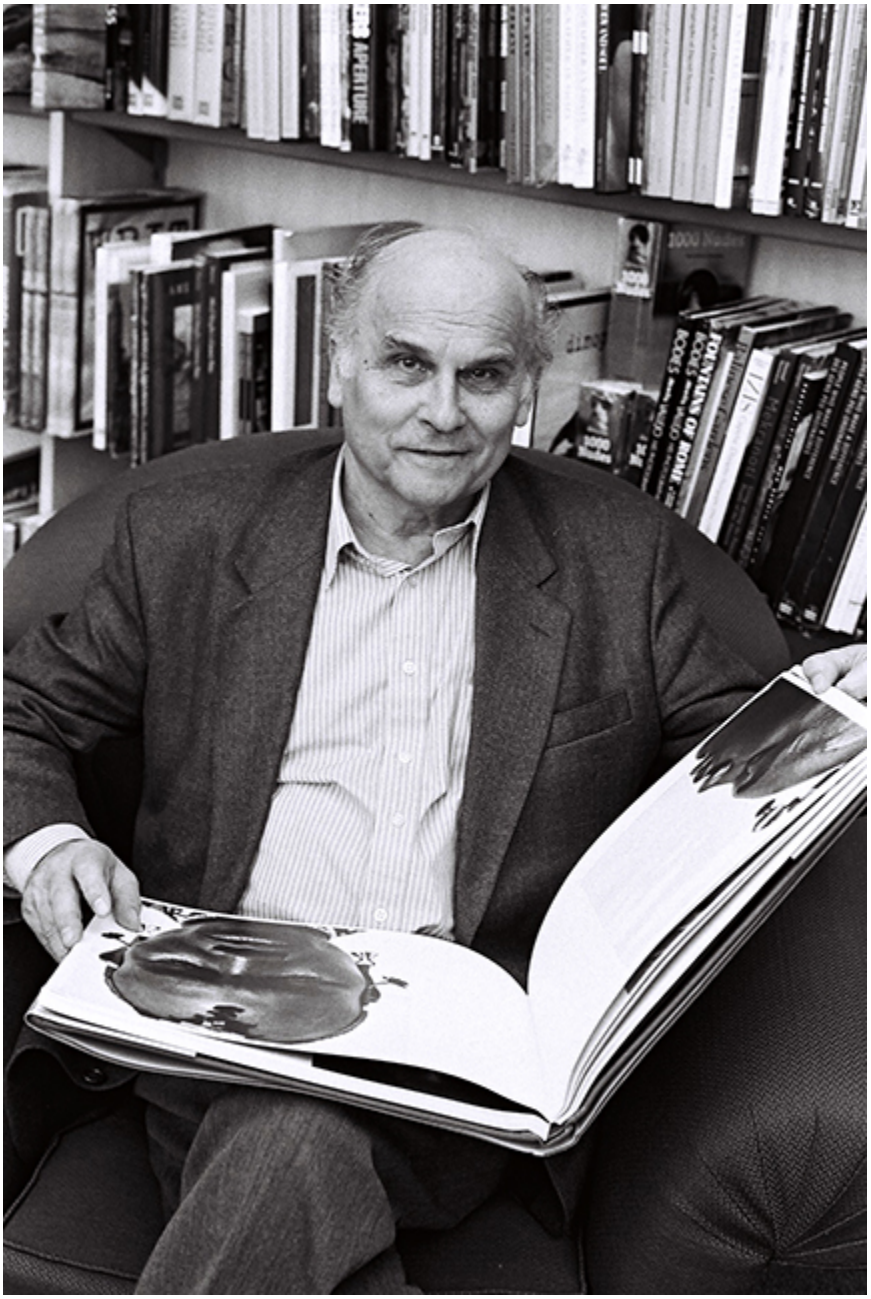
> Świata (…)[3].

Zastanawiając się nad tą obserwacją, autora tych słów, pomieszkującego kątem w Toronto (między innymi w jeszcze nie wynajętych, czy właśnie zdanych mieszkaniach bloku zarządzanego przez ciecia – jak sam siebie nazywa – Kusibę w samym centrum miasta) i z konieczności narzuconych przez koczowniczy styl życia właściwie czyniącego z biblioteki dom, ten wielorasowy świat również fascynował, co nie znaczy, że nie zdawał sobie sprawy z potwornego braku proporcji. Gdy opuszczał mury biblioteki zamykanej na cztery spusty o północy, był promilową mniejszością w przejętym sprawą kształcenia obcojęzycznym tłumie, na który składały się setki pilnych studentów.

Obie te uwagi, jakże lapidarne, są zaledwie zapisem spostrzeżeń, nie oferując refleksji nad tym, do czego to opanowanie bibliotek przez azjatycki świat może doprowadzić. Wielkość Chin, nie tylko rozwijących się ekonomicznie z szybkością światła, ale coraz agresywniej zachowujących się w świecie bezustannych zmian, czy to w Azji czy w Afryce, sprawnie przejmujących spuściznę wpływów i uzależnień od wycofujących się ze świata Stanów Zjednoczonych, oparta jest między innymi na wiedzy i ekspertyzie tych wszystkich absolwentów zachodnich uniwersytetów, tych oddanych sprawie wykształcenia

inteligentnych, pracowitych, pokornie akceptujących zasady rozwojowe swoich państw prymusów.

Oczywiście, że podczas lektury książki Kusiby pojawia się myśl o zasadność jej powstania. Jaki sens pisania o nim we współczesnej Polsce. Różne odpowiedzi przychodzą na myśl, włącznie z tą o największym przegranym polskim reportażyście. Coż z tego, że hołubiony na świecie? Cóż z tego, że istnieje nagroda Jego imienia; że organizuje się konferencje, skoro Kapuściński nie zaistniał w polskiej szkole, na polskich uniwersytetach, a w powszechnej polskiej współczesnej świadomości zdaje się go po prostu nie być. Tak ważne dla Kapuścińskiego sprawy jak przejęcie się losami świata jako wspólnoty odpowiedzialności; otwarcie na Innego, między innymi przez próbę zrozumienia jego racji; pojęcie zgrozy czającej się za powszechnym pędem do dobrobytu za wszelką cenę, nie należą do języka współczesnej Polski. Za to dużo w nim braku poszanowania odmienności, zgody na neonazyfikację Europy; mantr o pasożytach i pierwotniakach, roznoszonych przez ludzi szukających schronienia przed okrutną wojną czy głodem, przypisanej im cholerze w Grecji, czy dezynterii w Wiedniu.



Ryszard Kapuściński, fot. Marek Kusiba.

Skrajnie prawicowi politycy lubią wysługiwać się ludzkim nieszczęściem. Widać to jak na dłoni w Polsce, ale widać to również w dzisiejszej Kanadzie. Mimo iż przeszło 40 tys. syryjskich uchodźców zostało bezkonfliktowo wchłoniętych przez 37- milionowe kanadyjskie społeczeństwo przed końcem roku 2017; mimo iż w 2017 otoczono opieką 20 000 uchodźców z USA

przechodzących nielegalnie na kanadyjską stronę granicy z obawy przed antyemigracyjną polityką Trumpa, w przedwyborczej kampanii kanadyjscy konserwatyści uderzają w tony tak bliskie sercu przywódców, premierów, liderów, prezydentów: brak kontroli, rozpasanie migracyjnych mas, zanikające poczucie bezpieczeństwa wśród przeciętnych Kanadyjczyków, nierozważne szafowanie publicznymi środkami, wydawanymi na obcych. Dwa najbliższe lata pokażą, czy tak bliska sercu Kapuścińskiego Kanada, kraj akceptacji, uśmiechu, zamieszkiwany przez wszystkie ludy świata, polityki życzliwej odmiennościom wielokulturowości, obroni się przed zżerającą już teraz Europę nieufnością do Innego, agresją wobec odmienności, powrotem w brunatną lub zaledwie izolatystyczną przeszłość.

A Kapuścińskiemu inaczej świat się układał w całość. Podczas wspólnej podróży z autorem po „ścianie wschodniej” 20 maja 1997 roku Kapuściński

> (…) wspomina wczesne wyprawy na Suwalszczyznę i Białostocczyznę, gdy pisał reportaże dla „Polityki” zamieszczone później w *„Buszu po polsku”* (1962). Chętnie się tu wyprawiał z Warszawy, rozumiał niuanse językowe chłopów mówiących „po prostemu”. Dobrze się czuł w wielojęzykowym i wieloreligijnym przekładańcu, bo tu i Rzym, i Bizancjum, katolicyzm i prawosławie, ale też islam;

> to ziemia kościołów, cerkwi, meczetów (dwóch czynnych, w Bohonikach i Kruszynianach) i synagog (nieczynnych). Tęsknił do Polski mozaikowej, niejednorodnej religijnie i etnicznie, jaką pamiętał z dzieciństwa w Pińsku, ojczyzny skleconej z Polaków, Białorusinów, Litwinów, Żydów, Tatarów, Niemców, Ukraińców, Łemków, Bojków, Wołochów, Karaimów, Cyganów i kogo tam jeszcze. Polskość kwitła zawsze najbujniej na podściółce wielorakich zapożyczeń kulturowych[4].

Tragiczność postawy Kapuścińskiego związana jest również z ignorowaniem głównego przesłania prawie tysiąca stron lapidarnych zapisów, prostej w zasadzie, a jakże trudnej do wprowadzenia w życie w świecie pęczniejącym od miliardów pazernych stworzeń: trzeba ten świat kochać, troszczyć się o niego, pielęgnować.

A przecież świat powoli wpada w łapy rwaczy, przekonanych że filozofia rwactwa, przywłaszczania sobie wszystkiego bez miary i chwili refleksji, jakby trumny miały kieszenie, jest nie tylko zbożna, ale i uzasadniona przez tezy prymitywnego społecznego darwinizmu.

Opowieść o Ryszardzie Kapuścińskim, który „był jak znikający punkt” pióra Marka Kusiby, to coś więcej niż raptularz czy

autoreportaż. Książka Kusiby to okazja to przemyślenia kilku niepokojących procesów przeobrażających nasz współczesny świat, tak bardzo – by odwołać się do Timothy Snydera – zaangażowany w odwrót od demokracji. Trudno jest w tym momencie przewidzieć, co zwycięży – troska czy rwactwo – władzy, przywilejów, kasy. Zbyt wielu rządców naszego współczesnego, globalnego, uzależnionego od siebie świata, przypomina Afrykańczyka Deda, budującego swój zamek z piasku, w opisie którego obecne są podstawowe zasady budowania nowego światowego ładu:

> Ded otrzepuje dłonie, jego zamek stoi już gotowy. Nic nie będzie zmieniał, tak jest najlepiej. Mocna i zwarta konstrukcja, bez poprawek i bez przebudowań, dzieło ręki, która się nie waha. Wysokie mury, kanciaste zabudowania, cień na dnie dziedzińca[5].

Na koniec uwaga merytoryczna.

Dywagacje Kusiby na temat czy był Kapuściński *gonzo*, czy nie był, sprawiają wrażenie desperackiej próby terminologicznego usankcjonowania dokonań polskiego reportera na planie światowego reportażu. Dopóki trzymamy się amerykańskiego, a przecież nie amerykańskiego określenia *gonzo*, za bardzo nie wiemy w czym rzecz. Mówią, że on *Gonzo* – a niech sobie będzie

Gonzo, byle nie Gonzalo. Jeżeli jednak pod puste znaczeniowo *gonzo*, podstawimy reportaż sowizdrzalski, reportaż łotrzykowski, *gonzo* pęknie jak mydlana bańka, i raz jeszcze zdamy sobie sprawę z odmienności dokonania Kapuścińskiego. O ileż bardziej – skoro już musimy wysługiwać się językami innych ludów – *sierioznego* w zamierzeniach, praktyce i dokonaniach. Zwłaszcza, że mamy już *gonzo* domowego chowu, *Przyjdzie Mordor i nas zje, czyli tajna historia Słowian* Ziemowita Szczerka, reportaż tyle obrazowy, co kontrowersyjny, mający za zasadę bezustanne obrażanie Ukraińców, co ma uzasadnić zasadność *pointy*: no i z kogo się śmiejecie, z samych siebie się śmiejecie.

Jeżeli słuszna jest lapidarna definicja samego Kapuścińskiego, że styl *gonzo* „zakłada uczestniczenie w zdarzeniach hedonistycznych, w skandalach itp. (…)”[6], którą zaczerpnął Kusiba z *Lapidarium*, pióro samo ciągnie po papierze myśl o hedoniźmie nędznych lepianek czy zakaraluszonych pokoików hotelowych, często opisywanych z ewidentną zgrozą przez autora *Hebanu*. A przecież te wszystkie ekstremalne osiągnięcia Kapuścińskiego biorą się z przedindustrialnej epoki, w której reporter uprawiał swój samotny zawód, wysyłany w świat bez środków do godziwego życia; nieubezpieczony, bez jakiegokolwiek zaplecza, stając się uczestnikiem ekstremalnego doświadczenia. Jeżeli dopisało mu szczęście, wracał i opowiadał, jeżeli nie, czytelnik czytał na klepsydrze: urodził się, zmarł

tragicznie, pogrążeni w żałobie. Jeżeli Hunter S. Thompson to *gonzo*, Kapuściński nim po prostu być nie może, tak jak buta uszytego na lewą nogę nie da się wygodnie nosić na prawej.

A teraz już najpoważniej na świecie – cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie co posiadacie. Nasza polska kultura piśmiennicza jest jak niezaorana, bujnie kwitnąca zielem rozmaitem wąska miedza. Jakże bogata w indywidualności. Poezja polska to kilka zaledwie nazwisk, ale przecież na lekturę, zachwyty, przeżycie piękna, i wyciągnięcie z tego wszystkiego wniosków, jednego życia nie starczy. Polska proza – podobnie. Polski reportaż – dzięki Ci panie Boże, że mamy tylko jednego takiego Kapuścińskiego – życia za mało, żeby a) przeczytać, b) pojąć, c) zachłysnąć się, d) wdrożyć.

Jest wśród nas, nad czym włos na czworo rozszczepiali bohaterowie omówionej książki, ogromnie dużo chamstwa. A tuż obok – wszystkie dziesięć ośmiotysięczników Himalajów poezji, prozy, reportażu. Tylko że Himalaje nie są dla wszystkich, wymagają hartu ducha, wieloletnich przygotowań i wyrzeczeń. A zapierające dech w płucach panoramy warte są każdej kropli potu.

Dr Roman Sabo-Walsh jest poetą, tłumaczem i eseistą, mieszkającym w Vancouver, BC.



Ryszard Kapuściński we wspomnieniu Marka Kusiby:

> Ryszard Kapuściński – poeta reportażu

---

[1] Marek Kusiba: *Ryszard Kapuściński z daleka i z bliska*, Znak, Kraków 2018, s. 352.

[2] Tamże, s. 12.

[3] Tamże, s. 109.

[4] Tamże, s. 161.

[5] Tamże, s. 35.

[6] Tamże, s. 289-291.

Ryszard Kapuściński – poeta reportażu

4. III. 1932. – 23. I. 2007.



Ryszard Kapuściński i Marek Kusiba (z prawej), 2 grudnia 1996 r. podczas wizyty reportera w Toronto z okazji otrzymania Nagrody im. Turzanskich), fot. D. Kuprel.

Marek Kusiba

W dwanaście lat po śmierci Ryszarda Kapuścińskiego zainteresowanie twórczością autora *Cesarza* nie maleje. Jest czytany w czterdziestu językach, choć pisał w niszowym, w skali świata, języku czterdziestu milionów. Stał się *guru* żurnalistów na całym globie, zwłaszcza w krajach zachodnich demokracji, pracując w peerelowskich mediach. Był i pozostał mistrzem kilku pokoleń reporterów, choć „tanecznym krokiem przekraczał granicę ku literaturze", jak pisał jego niemiecki tłumacz Martin Pollack, a nawet ją unieważnił i podniósł reportaż do rangi

sztuki, jak pisała wybitna badaczka tej twórczości Beata Nowacka. Nazywano go kompozytorem słów, jego proza olśniewa prostotą i poetyckim pięknem obrazowania.

Kapuściński był badaczem inności, kolekcjonerem skarbów, ukrytych w szczegółach. Jego dzieła cechuje niezwykła intensywność i żarliwość prawdziwego odkrywcy. Frapowały go inne kultury, zwyczaje, religie. Był w tej dziedzinie samoukiem, władającym biegle sześcioma językami, których nauczył się po to, by móc zanurzać się w światach Innych. Budował syntezę świata naczyń połączonych, globalnej wioski, o której pisał na długo przed Mc Luhanem. Malował zarazem portret świata podzielonego, ale pięknego w swej różnorodności. Jako wyznawca teorii Bronisława Malinowskiego o równorzędności kultur uważał swoje dzieło za jedną, wielotomową księgę świadka nowego, postkolonialnego świata, jaki zaczął się wyłaniać na przełomie lat 50. i 60. XX wieku. Wtedy odbywał swoje pierwsze podróże do Indii, Japonii, Chin, Afganistanu, Pakistanu, Afryki. Na Czarny Kontynent i do Ameryki Łacińskiej wracał wielokrotnie w ciągu swych pięćdziesięcioletnich, reporterskich pielgrzymek, przywożąc materiały do książek, które potrafił pisać tylko w swej pracowni w Warszawie. Jego przedwczesne odejście w wieku lat 74 oznacza w Polsce koniec epoki wielkich mistrzów reportażu. Dołączył do dwójki klasyków tego gatunku: Melchiora Wańkowicza i Ksawerego Pruszyńskiego.

W świecie uznawany był za jednego z najwybitniejszych twórców literatury faktu i jednego z największych pisarzy. Nad Wisłą nie nadawano temu pisarstwu, ani temu pisarzowi, należytej rangi: nie dostał Nike, ani żadnej większej nagrody literackiej, nie mówiąc o Orderze Orła Białego. Podczas gdy książki Kapuścińskiego stoją na półkach w amerykańskich i kanadyjskich redakcjach – jako materiały źródłowe do wiedzy o krajach tzw. Trzeciego Świata i nauki pisania – w polskich szkołach dziennikarskich Kapuścińskiego po prostu nie ma, nie uczy się na jego książkach ani sztuki zatrudniania słowa, ani etyki zawodowej. Nie ma go także w lekturach obowiązkowych w szkołach średnich czy na studiach wyższych, choć jego książki najlepiej objaśniają współczesny świat, albo jak dosadnie napisał Geoff Dyer w recenzji z *The Shadow of the Sun* (angielski tytuł *Hebanu*):

> Kapuściński dał najmniej stronnicze, najwierniejsze, najbardziej wyczerpujące i barwne świadectwo, jak wygląda życie na naszej planecie.

Wojażer Kapuściński przez pół wieku, niczym etnolog, peregrynował na nieodwiedzane przez innych tereny, był w stu krajach, pisał o dwudziestu, towarzyszył narodzinom postkolonialnego świata, poznał dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy ludzi. Trudno znaleźć drugiego dziennikarza w skali globu o

takiej skali doświadczeń, rozległości wiedzy i znajomości wybranej tematyki, którą było – w największym skrócie – życie ludzi biednych. Dlatego nie sposób odtworzyć świata jego reportaży, bo już praktycznie nie istnieje, albo jest prawie nie do poznania. Nie można przejść drogi pisarza, ale można powędrować przez świat jego twórczości, spróbować odczytać na nowo jego dzieła, bo – jak pisał Charles Ross:

> najbardziej odkrywczą biografią artysty jest biografia jego sztuki.

Probowałem to zrobić – ale nie tylko to – w swojej książce o Ryszardzie Kapuścińskim, wydanej pół roku temu nakładem krakowskiej oficyny Znak. Zaznaczam, że nie jest to biografia, co najwyżej reportaż biograficzny, raptularz moich spotkań z tym pisarstwem i pisarzem – w dwóch krajach na dwóch kontynentach, na przełomie dwóch wieków.



Ryszard Kapuściński i Marek Kusiba (z lewej), 2 grudnia 1996 r. podczas wizyty reportera w Toronto z okazji otrzymania Nagrody im. Turzanskich), fot. D. Kuprel.

Znaliśmy się 27 lat, i były to lata bogate w rozmowy, spacery, przejażdżki samochodem po Warszawie i Toronto, wschodniej Polsce i południowym Ontario, a także wspólne, niekiedy humorystyczne doświadczenia. Jak wyznała w swoim wspomnieniu o Ryszardzie, drukowanym na tych stronach Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Ryszard

> miał rzadką cechę całkowitego skupienia się na osobie, z którą rozmawiał. Pytał każdego o jego sprawy, wiedział, jakie są ważne sprawy dla jego znajomych i przyjaciół. A miał ich całe rzesze.

Doświadczyłem tego na spotkaniu z Kapuścińskim w Toronto, w grudniu 1996 r. Próbowałem bezskutecznie skrócić rozmowę pisarza z trzystuosobową widownią, bo widziałem, że słania się na nogach, ale ważniejsi od planu, scenariusza (i zdrowia) byli ludzie. Z punktu widzenia uczestników spotkań autorskich Ryszard posiadał zaletę, która była utrapieniem dla organizatorów: moralny imperatyw udzielenia odpowiedzi na wszystkie pytania z sali. Odpowiedział, a potem podpisał jeszcze blisko dwieście książek i z każdym potencjalnym akolitą uciął sobie pogawędkę. Gdy wróciliśmy do jego hotelu, wyznał, że jest „happeningiem", że nigdy nie wie, jak się potoczy rozmowa, ile będzie trwała, że to poczucie go mobilizuje. A poza tym ci ludzie przyszli na jego spotkanie, choć mogli sobie pójść do kina albo na piwo.

Szlachetność intencji, nierzadko odbierana jak naiwność, kilkakrotnie ratowała mu życie. Przygody afrykańskie (tudzież azjatyckie i amerykańskie) Ryszard opisał w reportażach, w książce koncentruję się na zdarzeniach „błahych na pozór, niewartych aż poematu", jak pisał Tuwim w poemacie *Piotr Płaksin*, ale może wartych zapisania, bo rzucają nieco więcej światła na postać i twórczość Ryszarda Kapuścińskiego.

Toronto, 23 stycznia 2019 r.

Recenzja książki Marka Kusiby p.t. „Ryszard Kapuściński z bliska i z daleka” autorstwa Romana Sabo ukaże się w piątek 25 stycznia 2019 r.

Balkon na Atlantyk



Klasztor La Rabida, fot. Wikimedia Commons.

Florian Śmieja

Opodal granicy z Portugalią niedaleko andaluzyjskiego miasta portowego Huelva wznosi się klasztor La Rabida. To w jego murach śmiały zamysł Krzysztofa Kolumba znalazł posłuch, a potem wsparcie.

W miejscach tak strategicznie położonych zakładali swoje emporia handlowe Fenicjanie, Kartagińczycy i Rzymianie. Po nich strażnikami tych wód stali się Arabowie i to oni zbudowali zręby klasztoru. Kiedy wyparli ich chrześcijanie na nich postawili kościół w stylu gotycko-mauretańskim. Ucierpiał on w czasie wojny domowej 1936-39 ale został odbudowany.

Ten franciszkanski ośrodek studiów i hospicjum pieczołowicie opiekuje się pamiątkami po Kolumbie. Piękne freski pędzla Vazqueza Diaza z roku 1930 opiewają epopeję odkrycia Nowego Świata przez kronikarza Lópeza de Gómara nazwana największym wydarzeniem obok stworzenia świata i narodzenia Chrystusa.

W roku 1485 do bramy tego klasztoru zapukał Krzysztof Kolumb z synem. Przyszedł, aby odetchnąć w murach samotnego klasztoru niepoprawny marzyciel po wielu nieudanych próbach, by zapalić ludzi do wyjścia poza partykularz i do szukania rozleglejszych horyzontów.

W klasztorze przebywał mnich o. Antonio Marchena pielęgnujący

tradycję Rogera Bacona i Raimunda Llula, którzy zakładali istnienie kontynentu na zachodzie. To on wyrobił Kolumbowi wstęp do domów wielmożów w Sewilli.

Przez siedem lat Kolumb bezskutecznie prosił i perswadował. W końcu postanowił ruszyć do Francji, by tam próbować szczęścia. Zatrzymali go zakonnicy. Jeden z nich, spowiednik królowej Izabeli, pojechał do obozu pod Granadą, bo wojska hiszpańskie oblegały w tym czasie ostatnie królestwo Maurów, i uzyskał zgodę na realizowanie fantastycznego przedsięwzięcia.

Nie obyło się bez trudności i technicznych problemów: lokalni marynarze nie ufali obcemu. Obawy ich rozproszył zakonnik pozyskując dla sprawy znanego miejscowego żeglarza Martina Alonsa Pinzona. Wtedy zgłosili się ochotnicy i w rezultacie 3 sierpnia 1492 roku z portu w Palos wypłynęły trzy stateczki kierując się na zachód w nieznane.

Wojaż nie przebiegał gładko. Mieli awarię na Wyspach Kanaryjskich i przez długi czas nie natrafiali na żaden ląd. Mieli już zawrócić, ale zimna krew Pinzona sprawiła, że płynęli dalej w kierunku zachodnim. Resztę znamy: 12 października zobaczyli Bahamy. Kolumb powrócił do Europy w triumfie, by jeszcze trzy razy wyprawiać się na odkryte zimie.

Modele jego śmiesznie kruchych stateczków oglądać można na

piętrze krużganku klasztoru. Sądzę, że wrażenie było by silniejsze, gdyby zbudować repliki statków naturalnej wielkości i zakotwiczyć w miescu, z którego wypłynęły. Zestawienie ogromu Atlantyku z tymi łupinkami 13, 14 i 25 metrowymi nabrałoby wtedy właściwej wymowy.



Krzysztof Kolumb, fot. Leemage/EAST NEWS.

Kolumb zmarł w Valladolid w 1506 roku. Ciało jego przewiezione zostało do Sewilli, a następnie na wyspę Santo Domingo. Potem zaginęło w tajemniczych okolicznościach. W grobowcu w

katedrze sewillijskiej mają spoczywać tylko prochy syna. Na próżno też szukałem śladów w katedrze w Santo Domingo.

Ten genialny odkrywca nie przestanie fascynować jako nieprzeciętna jednostka narzucająca swoją wizję zasiedziałemu porządkowi rzeczy. W jego życiorysie pozostało wiele jeszcze spornych elementów. Nie łatwo sobie na przykład wytłumaczyć, dlaczego miał umierać w nędzy człowiek, który na mocy przywileju królewskiego pobierał dziesięć procent od ceny towarów eksportowanych z Hiszpanii do Nowego Świata, a piętnaście procent od przywożonych stamtąd pereł, złota, srebra i korzeni. Do tego miał uposażenie z tytułu piastowanych godności admirała, wicekróla i gubernatora. Ciekawe są też poszlaki, wedle których nie płynął on w nieznane, ale że jechał na wyspy, o których istnieniu miał mu opowiedzieć Alonso Sanchez, spędzony z kursu na Maderę przez sztormy.

W Palos stoi kościół, w którym proklamowano wolę królewską, by osada zbudowała statki i wyposażyła ekspedycję. W pobliskim Moguer (miejscu urodzenia Juana Ramona Jimeneza, noblisty, autora opowieści „Srebroń i ja”) w konwencie św Klary tablica upamiętnia dziękczynne modły Kolumba po powrocie z pierwszej wyprawy.

Kiedy patrzyłem na Atlantyk z balkonu klasztoru La Rabida, na którym przesiadywał Kolumb, zrozumiałem jak nieważne były

zarówno pamiątki po człowieku, jak też przypominanie jego słabostek czy roszczenia praw do jego prochów. Kolumb to niespożyty duch ludzki, który pokazał średniowieczu nową drogę kojarząc zmysł praktyczny z wizjonerstwem, oraz potwierdził obserwację, że nieraz poezja jest bliższa prawdy niż historia.

22

Stoję wobec świata. O poezji Adama Czerniawskiego.

Jerzy Sikora



Adam Czerniawski (z lewej) i Jerzy Sikora w Norwich, latem 1991 roku.

Adam Czerniawski to *poeta doctus*. Ma pokaźny dorobek twórczy. Uprawia poezję intelektualną, filozoficzną, czyli obok religijnej chyba najtrudniejszą. Co w niej jeszcze charakterystyczne? Częste odniesienia do kultury, szczególnie o proweniencji śródziemnomorskiej. Ponadto opisowość, precyzja. Nasz autor studiował filozofię i był jej wykładowcą. Gości ona i w jego wierszach.

Pierwsze spotkanie z „księciem poetów”

Z Adamem Czerniawskim po raz pierwszy spotkałem się 28 sierpnia 1991 roku. Ówczesnego lata byłem w Londynie. Zbierałem materiały do doktoratu o londyńskiej grupie literackiej „Merkuriusza” i „Kontynentów”, do której należał Czerniawski. Nie pamiętam, czy od Jana Darowskiego, czy od Krystyny i Czesława Bednarczyków z Oficyny Poetów i Malarzy otrzymałem telefon do Czerniawskiego. Zadzwoniłem i umówiłem się z nim. Wtedy przebywał w Norwich. Z Londynu to godzina i 45 minut jazdy pociągiem z Victoria Station. Pociąg przyjechał do Norwich punktualnie. Ustaliliśmy, że poeta będzie czekał na mnie na peronie.

Widzę mężczyznę o szpakowatych włosach, w kraciastej koszuli z krótkim rękawem, w sandałach. W ręce dzierży saszetkę. *Excuse me*, Mr. Czerniawski? – pytam dla pewności. Tak, to on. Wsiadamy do białego peugeota. Najpierw jedziemy do *pubu* coś przekąsić. Stek z grzybami i zimne piwo. Dobre na sierpniowy upał. Następnie udajemy się do domu poety.

I oto już siedzimy w ogrodzie pod morelą. Nadchodzi sąsiadka z dwoma psami: czarnym i rudym. Typowa Angielka. Chyba ten rudy obsikuje mi nogawkę spodni. Udaję, że nic się nie stało. Proszę panią od psów, aby zrobiła mi zdjęcie z Czerniawskim. Warto przecież mieć fotografię z „księciem poetów”, którym

kilkanaście lat wcześniej okrzyknęła go Alicja Lisiecka. Przyniósł filiżanki i nalewa kawę. Co zauważam? Na jego filiżance wizerunek sowy, a na mojej barana. To można odczytać symbolicznie – zagaduję. Uśmiecha się. Wcale nie ukrywa dumy. W tym miejscu nadmienię, że trzy lata później Czerniawski publikuje zbiór esejów zatytułowany *Muzy i sowa Minerwy*. Może to ma jakiś związek ze wspomnianą filiżanką?

Długo rozmawiamy o literaturze. Widzę, że mój rozmówca czuje wyraźny głód takowej konwersacji. Mówimy o „Kontynentach", o tłumaczeniach Czerniawskiego polskich poetów, zwłaszcza Różewicza, na język angielski. Różne wspominki. Między innymi o Tadeuszu Sułkowskim.

> Zetknąłem się z nim – mówi Czerniawski – po raz pierwszy w Oficynie Poetów i Malarzy. On, znany już poeta, kłania mi się w pas, mnie – początkującemu.

O Aleksandrze Wacie.

> Spotkałem go na schodach Ogniska Polskiego w Londynie. Rozwichrzone włosy, grymas bólu na twarzy [Wat cierpiał na tzw. zespół opuszkowy Walldenberga, wywołujący ostre bóle głowy – przyp. J.S.] – żałosny widok. – „Czytam pana,

> czytam” – powiedział.

O Kazimierzu Wierzyńskim.

> W jednym z pierwszych numerów „Kontynentów” napisałem bardzo krytycznie o jego poezji, stąd pewnie pierwsze słowa, jakie autor „Czarnego poloneza„ skierował do mnie, brzmiały: – Mam pana w dupie. Natomiast gdy drugi raz się spotkaliśmy, sprecyzował: – Nie pana mam w dupie, ale pana pisarstwo.

The University of East Anglia. Tutaj pracuje Czerniawski jako *Deputy Director of the British Centre for Translation Studies at the University of East Anglia.* Mały gabinet tonie w książkach i maszynopisach, nawet na parapecie aż do połowy okna. Wychodzimy na zewnątrz. Krótki spacer po uniwersyteckim *campusie*. Niebanalnie usytuowane domy akademickie w kształcie klocków. Jeszcze dalej – tereny rekreacyjne: łąki, rozlewiska, zagajnik.

Kiedy poeta odwozi mnie na dworzec, jest już ciemno. Długi skład pociągu do Londynu prawie pusty.

Aura klasycyzmu

Czerniawskiemu bliski jest klasycyzm spod sztandaru nie byle kogo, bo samego Thomasa Eliota, którego widywał w Londynie, czytał i podziwiał, aczkolwiek nie był wobec niego bezkrytyczny. Nasz autor w zbiorze esejów *Liryka i druk* wyznaje:

> Dwóch ludzi uczyło mnie rozumieć i doceniać poezję: jednym był Norwid, a drugim Eliot.

Czerniawski to posiada z klasyka, iż w jego poezji – co zaskakujące, ale i wartościowe – mimo że jest tak duża aktywność epistemologiczna poznającego podmiotu, na ogół nie ma dramatów, rozdarć, niepokojów. Cierpliwie szuka ładu, porządku, symetrii. W jego utworach dominuje chłodne piękno, dystans, harmonia, stonowana ekspresja uczuć. Ponadto miłość do sztuki – przede wszystkim do malarstwa i muzyki. I oczywiście do literatury. Pod pozornie doraźnym oglądem świata kryje się głębia uniwersalnego spojrzenia, przefiltrowanego przez subiektywne „ja", w dialogicznej konfrontacji czy to z wielkimi dziełami malarstwa, czy to ze wspaniałymi utworami muzycznymi, czy też z godną uwagi literaturą. W utworze *Desolation Sound, czyli głos rozpaczy* narrator wnioskuje:

> Świat przyrodzony jest dla nas nieczytelny aż do kiedy nie ujarzmimy go, przekładając go sobie na schemat kultury, symboliki, znaczeń. Nie może zaistnieć znak bez czyjejś woli. Czyja więc wola skomponowała teatrum nad brzegiem Canim Lake? Nawet biegli w pismach świętych nie są w stanie wyjaśnić, co ta wola zapragnęła nam wyrazić. Dlatego zmuszeni jesteśmy narzucać zjawiskom własne znaczenia, czyli tworzyć sztukę.

Suponuję, że Czerniawski nie uprawiałby takiej poezji: swobody, dystansu, filozoficznej dysputy – gdyby mieszkał w Polsce. Żyjąc i tworząc w Wielkiej Brytanii, jest bardziej otwarty na rozmaite tendencje artystyczne, nie tylko o proweniencji klasycznej, na swobodniejsze odwoływanie się do tradycji kultury europejskiej.

Vermeer, Palmer, Friedrich

W dorobku poetyckim Czerniawskiego ważny jest zbiór wierszy *Widok Delft* (1973). Mamy tytuł tożsamy z nazwą obrazu Jana Vermeera z połowy siedemnastego wieku. Wiek siedemnasty to złoty wiek niderlandzkiego malarstwa rodzajowego. Jan Vermeer jak nikt inny potrafił na swoich obrazach znakomicie ukazać walory świetlne. Jest niekwestionowanym mistrzem

światłocienia. Mimo że nie był *sensu stricto* impresjonistą, ale niewątpliwie jawi się jako prekursor impresjonistów. Na płótnie zatytułowanym *Widok Delft* słońce usilnie przedziera się przez ciężkie chmury. Jasność zmaga się z ciemnością. I z tej batalii wychodzi zwycięsko. Podobnie jest w poezji Czerniawskiego, gdzie mroki są prześwietlane blaskiem słońca. Zatrzymajmy się przy tytułowym, ośmioczęściowym, poemacie *Widok Delft*. Nadmieńmy, że miasteczko Delft jest miejscem urodzenia mistrza światłocienia.

> Zobaczyłem Delft
>
> długo czekałem na te chwilę
>
> dni schodziły i lata
>
> czytałem mądre książki
>
> córce opowiadałem dzieje Babilonu
>
> z synem dyskutowałem nieskończoność czasu
>
> spierałem się z żoną o kolor tapety

> płaciłem rachunki
>
> zamykałem okna
>
> jadłem obiad kaszlałem
>
> lecz ciągle wierzyłem że ujrzę Delft
>
> nie we śnie nie na pocztówce nie na ekranie
>
> że ujrzę wieżyczki fortyfikacyjne
>
> odbite w lekko sfalowanej wodzie
>
> widziałem Delft
>
> mam w oczach Delft
>
> zobaczyłem Delft
>
> opiszę Delft

Poeta zachwycił się wspomnianym obrazem na tyle mocno, że w 1973 roku taki sam tytuł dał swojemu tomikowi wierszy. Zresztą

co do zachwytu, nie był on pierwszym i na pewno nie ostatnim. Miłośnikiem malarstwa Vermeera, a szczególnie tego obrazu, między innymi był Marcel Proust. Autor eposu *W poszukiwaniu straconego czasu* wyznał: „Odkąd w haskim muzeum zobaczyłem *Widok Delft*, wiem, że widziałem obraz najpiękniejszy na świecie". A Wisława Szymborska, urzeczona malarstwem Vermeera, napisała wiersz zatytułowany *Vermeer*:

> Dopóki ta kobieta z Rijskmuseum
>
> w namalowanej ciszy i skupieniu
>
> mleko z dzbana do miski przelewa
>
> nie zasługuje Świat
>
> na koniec świata

W utworze poetka skupia się na obrazie zatytułowanym *Mleczarka*, także nazywanym: *Przelewająca mleko*.

W 2014 roku w lubelskim wydawnictwie Norbertinum ukazały się *Poezje zebrane* Adama Czerniawskiego. Na okładce

pokaźnego tomu wierszy widnieje obraz Samuela Palmera *The valley thick with corn*. Palmerowska „dolina utkana zbożem” zostaje przywołana w utworze *Słowa*. Autor wspomina w nim Ludwiga Wittgensteina:

> Często rozważał samobójstwo, gnębiła go świadomość, że jest niezrozumiały, przerażała go „ciemność naszych czasów”, lecz tuż przed śmiercią w Cambridge zawołał: „Tell, them, I’ve had a wonderful life!”

Zwieńczeniem *Słów* jest osobista – wręcz eschatologiczna – refleksja:

> W palmerowskich chwilach ukojenia, przejaśnienia i uspokojenia ostatnie słowa L.W. cisną mi się na usta i zastanawiam się, czy gdy przyjdzie czas, wydam sobie podobny osąd ostateczny i czy akurat ktoś go posłyszy.

Obraz Palmera ze wspomnianej książkowej okładki przedstawia sielski pejzaż, a w jego centrum widnieje postać człowieka z księgą w dłoni, pogrążonego w lekturze. Może to wizja krainy szczęśliwości samego Czerniawskiego? Klasyczni pejzażyści są ulubionymi malarzami tego poety. Kim jest Samuel Palmer? To

dziewiętnastowieczny angielski malarz pejzażysta i pisarz romantyczny. Pod wpływem Williama Blake'a malował przesycone mistycyzmem pejzaże i sceny pasterskie.

Czerniawski przywołuje również niemieckigo pejzażystę, Caspara Davida Friedricha, z okresu romantyzmu. *Dziewczyna w oknie* – tytuł jego obrazu jest jednocześnie tytułem wiersza (a raczej narracyjnego komentarza o charakterze bardziej filozoficznym – z dziedziny estetyki – niż czysto literackim). W tym utworze pojawiają się pytania o charakterze ontologicznym, wychodzące poza doraźność:

Dlaczego więc kobieta Caspara podbiegła do okna: czy żegna kochanka, czy jak ćma zniewolona jest światłem, czy też ma twarz rozjaśnioną olśnieniem, że w ciszy przepływający statek jest paradygmatem nieruchomych kategorii ludzkiej świadomości? I niech mi żaden pedant nie podpowiada, że to po prostu Karolina, żona malarza, cierpliwie i bezwolnie ozdabia mizerną framugę okna i obrazu.

Przede wszystkim epistemologia

Doświadczanie świata przez Czerniawskiego ma zasadniczo charakter głęboko poznawczy. I najczęściej bez domykającego

„tak”, bez jednoznacznej puenty. A jeśli pojawia się puenta, to ma ona wydźwięk pytajny:

> O świecie, świecie, czy przenika nas grozą i radością twój domniemany ład czy chaos? (*„Asurbanipal i inni”*).

Jak każdy prawdziwy poeta, autor *Polowania na jednorożca* rozbija myślowe stereotypy, preferuje poznanie na własną rękę, ale czyni to w wielogłosowej polemice z innymi. Stroni od łatwego, emocjonalnego liryzmu. Uaktywnia poetycką ekspresję oczyszczoną z dekoratywności – rzetelną, przemyślaną, odpowiedzialną. Umie wypracować, wykuć w słowie własną poetykę, wcześniej terminując u największych – już wspomnianych – mistrzów słowa. W swojej epistemologii stara się wychodzić poza zerojedynkową logikę wartościowania. Interesuje go relacja: podmiot – przedmiot, racjonalne – irracjonalne. Zastanawia się, co jest osnową bytu, a co jedynie przypadłością? Co ulotne, a co trwałe? Co stanowi przypadek, a co konieczność? Pyta o własną tożsamość: kim jestem? Jak zachować, ocalić swój indywidualizm, własne „ja”? W chaosie świata, w jego szaleńczym biegu i rozproszeniu, poszukuje sensu, stałości – dlatego tak częste odwołania do klasycznego malarstwa i muzyki:

> […] akord
>
> ostatni zamknięty harmonią, z tonów
>
> chaosu już wyrósł porządek. Lecz
>
> dźwięk zamiera i znów zwycięża
>
> ciszy żenująca nicość.
>
> (*„Dialektyczna atomizacja wyobraźni”*)

Czerniawski jest rasowym poetą, nie dopowiada do końca, zostawia miejsce na tajemnicę:

> Dane mi jest słyszeć niesłychane zespoły dźwięków
>
> dane mi jest badać strategię broni nuklearnej
>
> dane mi jest pożądać przechodzące dziewczęta;

> tysiąc lat temu nie słuchałbym Schuberta
>
> ale wierzyłbym radośnie w świętych obcowanie
>
> zaglądałbym ukradkiem w oczy śmiertelnych czarownic
>
> i znałbym konfiguracje ptolomejskich gwiazd;
>
> w każdej sytuacji w każdej epoce w każdym systemie
>
> czegoś nie można dotknąć ręką
>
> dojrzeć nawet przez mikroskop;
>
> są doświadczenia
>
> których nigdy nie pomieszczę w granicach tego życia
>
> (*„Słuchając któregoś kwartetu Schuberta”*)

W poznawczym zmaganiu się ze światem poeta wierzy w swoje możliwości poznawcze, mimo że są ograniczone. To świat zostaje pokazany jako ten stojący na przegranej pozycji. A może to tylko ironiczny pancerz ochronny, wojenna zbroja?

Stoję wobec świata

świat stoi wobec mnie

przyglądamy się sobie

świat jest ciemny tajemniczy nieznany

ja jestem niepewny siebie zagubiony

świat czeka

świat chce być odkryty

chce być odnaleziony rozebrany rozdarty do krwi

świat jest szaradą ja jestem zagadką

którą świat próbuje rozszyfrować którą ja sam

chciałbym zgłębić

[…]

Walka trwa czy ja zwyciężę

> czy świat
>
> godziny świata są policzone
>
> („*Poświata*”)

Problem poznania, a dokładniej jego granic, poprzez poezję pojawia się wielokrotnie w wierszach autora *Wieku złotego*. Oto przykład owych epistemologicznych zmagań:

> Ten wiersz miał autorytatywnie podsumować
>
> uzupełnić i zaokrąglić
>
> postawić kropkę
>
> nad światem i światem poezji
>
> a tymczasem wymyka mi się
>
> własnymi słowami
>
> wyobraża człowieka w rozterce

> jest sygnałem topniejącej gwiazdy
>
> popisuje się metaforą
>
> […]
>
> wiersz zamiast być klamrą
>
> co spina granice wyjaśnień i świeci objawieniem
>
> sam jest teraz jednym jeszcze przedmiotem
>
> który wymaga inwentaryzacji i klasyfikacji
>
> prosi się o zrozumienie wsparcie i współczucie
>
> (*„Ostatni wiersz”*)

Zwłaszcza ostatni wers świadczy o poznawczej pokorze poznającego podmiotu. Czerniawski zżyma się, gdy jest nazywany profesorem. Kiedyś w mailu napisałem: Szanowny Panie Profesorze. Adresat odpowiedział: „Nie jestem profesorem. Jestem normalnym człowiekiem”. Przejawem swobody oraz dystansu wobec siebie i otaczającego świata jest humor.

Znajdujemy go – chociaż umiarkowanie – w poezji autora *Jesieni*, natomiast więcej w bezpośrednich rozmowach oraz w esejach. Dla przykładu zacytuję słowa z *Krótkopisu (1986-1995)*:

> Dzwoni z Londynu znajomy pastor anglikański z prośbą o natychmiastową pomoc. Jego plebanię nawiedziła nie znająca angielskiego polska para. Okazuje się, że to Cyganie, świeżo przybyli do Anglii, którzy zabłądzili, szukają kościoła polskiego. Tłumaczę im, jak trafić. W słuchawce słyszę: – Serdecznie księdzu dziękujemy. Idźcie w pokoju i nie grzeszcie więcej – odpowiadam. Amen.

Na zakończenie

W wierszu, o charakterze testamentu, *Co przewiozę na tamten brzeg* nasz poeta zapisuje:

> Ten jedwabny szalik i pierwszą miłość,
>
> Kieliszek wina, garść wspomnień, gałązkę bzu,

> Parę nałożnic, berło i miecz,
>
> *„Boską komedię”*, dialogi Platona i widok Delft;
>
> Amforę marzeń i sakwę sucharów.

Cóż za piękny i różnorodny bagaż! Ale czy starczy tego zapasu na życie wieczne? Nikt z nas nie wie.

Jerzy Sikora – ksiądz, poeta, krytyk literacki, profesor nadzwyczajny w Katedrze Literatury XX Wieku Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, autor dziewięciu książek poetyckich, książki prozatorskiej *Pęknięte lustro. Małe prozy* oraz monografii naukowych: *Londyńska grupa literacka „Merkuriusza” i „Kontynentów”* (2000), *Od Słowa do słowa. Literackość współczesnych kazań* (2008), *Twórczość kaznodziejska ks. Józefa Tischnera. Studium literacko-homiletyczne* (2012). Publikował m.in. w „Akcencie”, „Nowych Książkach”, „Twórczości”, „Więzi”. Laureat Nagrody Brata

Alberta, Nagrody Literackiej im. Józefa Czechowicza, Nagrody i Medalu Zygmunta Glogera.

Gramatyka życia, miłości i wiary. Magda Stroińska i jej poezja.



Magda Stroińska, fot. arch. prywatne.

Ks. prof. dr hab. Jan Walkusz

Zdumiewające i dość przedziwne – jak się okazuje – może być dojrzewanie słowa, czyli rodowód aktywności pisarskiej, odwołującej się do przeżyć, doświadczeń, marzeń i tęsknot. Wielce wymownym przykładem takiej konstatacji wydaje się twórczość Magdy Stroińskiej, autorki niniejszego tomu poezji.

Urodzona w Warszawie w rodzinie lekarza i bibliotekarki Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego, miała dwóch starszych braci przyrodnich z pierwszego małżeństwa ojca, którzy wraz z matką byli deportowani ze Lwowa do Kazachstanu, a po latach wojennej katorgi wrócili do Polski. Ich tragiczne

dzieciństwo mocno wpisało się w pamięć i przeżycia Magdy Stroińskiej, która po ukończeniu Liceum Ogólnokształcącego Klemensa Gottwalda (dawniej i dziś – Stanisława Staszica) nie dostawszy się na wymarzoną Akademię Sztuk Pięknych, studiowała germanistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Po ukończeniu w 1979 r. studiów pracowała zrazu w Instytucie Lingwistyki Stosowanej, a następnie jako dydaktyk na germanistyce. W stanie wojennym zaangażowała się jako wolontariuszka w Komitecie Pomocy Więźniom Politycznym i ich Rodzinom, działającym przy kościele św. Marcina w Warszawie. W 1984 r. wyjechała na studia doktoranckie do Edynburga (Szkocja), gdzie w 1987 r. uzyskała doktorat z lingwistyki ogólnej, a następnie wraz z mężem wyjechała do Kanady.

Od 1988 r. pracuje na Wydziale Lingwistyki i Języków Obcych Uniwersytetu McMaster w Hamilton (Ontario, Kanada) jako profesor flologii germańskiej i językoznawstwa. W latach 1996-2001 była też *senior research fellow* na Uniwersytecie w Kingston-upon-Thames w Wielkiej Brytanii. W badaniach naukowych zajmuje się lingwistyką kognitywną, socjolingwistyką, pragmatyką międzykulturową i lingwistyką komputerową oraz problemami starzenia się osób dwujęzycznych, a także propagandą totalitarną.

Opublikowała szereg prac, m.in. *Relative Points of View: Linguistic Representations of Culture* (Berghahn, 2001), *Exile,*

language and identity (z Vikki Cechetto, Peter Lang, 2003), *Unspeakable: Narratives of trauma* (z Vikki Cecchetto i Kate Szymanski, Peter Lang, 2014). Choć od ponad 30 lat mieszka w Kanadzie, zachowała bliskie związki z krajem pochodzenia i językiem polskim.

Magda Stroińska już jako uczennica szkoły średniej zafascynowała się – a był to wpływ niezwykle ideowej polonistki Bożeny Rożalskiej – poezją Gombrowicza, Schulza, Grochowiaka, Szymborskiej, Białoszewskiego, Witkacego, Poświatowskiej i Wojaczka. To właśnie owa nauczycielka języka polskiego odsłaniając przed uczniami czar prawdziwego słowa i ucząc odpowiedniego czytania poezji, potrafła zarazem skutecznie stymulować pierwociny pisarstwa i wzniecać wiarę w sensowność takiego działania. A choć był to istotny fragment kształtującego się u Magdy Stroińskiej procesu, wydatnie dopełniał go wpływ twórczości, głównie poetyckiej, przyrodniego brata Autorki, Andrzeja Czcibor-Piotrowskiego (1931-2014), który na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego wieku legitymował się już dość bogatym dorobkiem jako autor wierszy, artykułów, recenzji i przekładów m.in. z języka czeskiego, słowackiego, serbsko-chorwackiego, słoweńskiego, macedońskiego i angielskiego; on też wprowadził młodszą o pokolenie siostrę w klimat poezji T. S. Eliota. Cały ten splot oddziaływań wygenerował u dzisiejszej profesor flologii

germańskiej i językoznawstwa z kanadyjskiego Hamilton potrzebę – jak sama wyznaje – zapisu ulotnycvh uczuć i myśli, wybranych i pomieszczonych w niniejszym zbiorze.

Cokolwiek by o tych tekstach powiedzieć i jakkolwiek je oceniać, trzeba wszak podkreślić, iż są one wyjątkowym i niezwykle autentycznym sposobem mówienia do drugiego człowieka, do siebie i do Pana Boga, wykreowanym koniecznością zwerbalizowania własnych uczuć i zgoła niepowtarzalnych przeżyć. Mowa taka i słowo mają bowiem to do siebie – upraszczając nieco zagadnienie – że są w stanie wygenerować całą gamę refeksji i niezwykle brzemiennych odczuć. A jeśli są w stanie zatrzymać pospieszną codzienność i wyjść poza orbitę przyciasnej tutejszości, znaczą coś więcej niż namiętne gadanie na użytek nijakiej publiczności, albowiem trącają o taką kategorię słowa, która przemienia rzeczywistość, sięgając do jej metafzycznej głębi. Ponad wszelką wątpliwość właśnie tak należy spojrzeć na teksty Magdy Stroińskiej, zawierające w istocie głębokie i ważne przesłanie, i tak je trzeba czytać.



Głównym tematem poetyckiej refeksji pomieszczonych tutaj utworów jest człowiek w swej złożonej strukturze psycho-fzycznej, jego świat wartości i kondycja intelektualno-duchowa widziana w perspektywie wielorakich doświadczeń. Niewątpliwym bogactwem w tak odbieranej przestrzeni jest słowo, które z jednej strony określa tożsamość człowieka, z drugiej zaś jest probierzem jego godności i wielkości, a zarazem tą wartością, której nie może być on pozbawiony.

Stąd – jak chce Autorka – rodzi się konieczność odpowiedzialności za słowo:

> (…) biorę te słowa w palce
> badam pod światło
> sprawdzam czy dźwięczą jak kryształ (…)
>
> wsuwam chyłkiem w kieszeń
> mój skarb
> moje bogactwo
> mogę je zamknąć w dłoni
> przemycić przez każdą granicę…
>
> to dobrze
> że ofarowujesz mi słowa
> słów
> nie można odebrać
> („słowa”),

potrzeba szukania płaszczyzny porozumienia i odnajdywania tego, co łączy, a co może dokonać się tylko dzięki słowu i dobrej woli:

> nawet jeśli to prawda

> że jest inne niebo
> dla prawosławnych
> i dla katolików
> dzieli je co najwyżej las
> ot, gęsty zagajnik
>
> możemy się tam spotykać
> zbierać grzyby i rajskie jagody
> odpocząć w cieniu
> znużeni upałem
>
> powiedz proszę że to prawda
> dobry Panie Boże.
> („inne niebo”)

Skuteczność słowa zasadza się na dialogiczności, albowiem kierowane w stronę drugiego człowieka, wymaga – by uskutecznić swoją misję, a przez to stworzyć bardziej ludzką rzeczywistość – odpowiedzi. I tylko w takiej konfguracji staje się możliwy, systematycznie wzbogacający się proces tworzenia wiedzy, rodzący wiarę i pomnażający nadzieję:

> Give me answer
> to kill my curiosity (…)
> give me faith

> that is stronger than death
> let me hope.
> („give me answer”)

Wiara zaś i nadzieja jako skutek należytego odczytania słowa i przyjęcia jego przekazu, a nade wszystko Słowa Objawionego, pozwalają głębiej zrozumieć siebie, zwłaszcza w kontekście wartości metafzycznych i nadprzyrodzonego przeznaczenia człowieka. W taki bowiem sposób dokonuje się proces szukania korzeni własnej tożsamości, który – jeśli być wiernym i uczciwym wobec siebie – może być najzwyklejszym pytaniem o Boga i Jego plany w stosunku do mnie i do świata. Czasami jest to „Pan Bóg – starzec siwobrody / z dobroduszną twarzą / naszego proboszcza”, innym razem obraz Boga ukształtowany w dzieciństwie, wzbogacony nadto treścią książek, wśród których jest „Sartre i ksiądz Twardowski / Boris Vian obok Witkacego…”, by ostatecznie dojść samodzielnie do intuicyjnego doświadczenia, dalekiego od naukowych teorii i flozofcznych tez, bo:

> Bóg
> pulsuje w moich żyłach wraz z krwią
> wpływa lękiem pod czaszkę
> rozlewa się falą chłodu pod skórą
> wchodzi w słowa

> powraca do mózgu
> i przesuwa się cieniem
> pod zaciśniętymi powiekami…
> („Bóg mieszka…”)

To głębokie doświadczenie Boga w naszej codzienności, i to nawet – jak wynika z egzemplarycznie tylko przywołanych tekstów – w najdrobniejszych przejawach życia, ma i musi mieć swoje konsekwencje już to w komplementarnym odczytywaniu zbawczego orędzia, już to w sytuowaniu własnej drogi i towarzyszących jej koniecznych wyborów w takiej optyce, by nie było rozdźwięku między przyjętym i wyznawanym systemem aksjologicznym a postępowaniem. Wprawdzie – co nietrudno dostrzec – świat i otoczenie zmieniają się, pięknieją – dzięki ludzkiemu wysiłkowi i niekonwencjonalnym rozwiązaniom – kościoły i świątynie, tylko Chrystus ukrzyżowany ciągle ten sam z tajemnicą śmierci i zmartwychwstania, choć przyodziany marmurem i złotem. Dobrze więc będzie, jeśli w tych wszystkich okolicznościach znajdzie się miejsce na pogłębioną refeksję i czas na pytanie o to, co w tym wszystkim jest ważniejsze: złota rama i włoski marmur czy bolejący Chrystus rozpięty na krzyżu i pytający o człowieka? („remont u św. Jakuba”). Odpowiedź bynajmniej nie wydaje się łatwa, jeśli zważyć z jednej strony na „dramat wolnej woli”, z drugiej zaś na dzieło Opatrzności Bożej. Choć może kusić niekiedy droga na skróty i szukanie pozornego

szczęścia, Bóg jako Dobry Ojciec cierpliwie i wciąż od nowa wskazuje bezpieczną drogę i czeka na każdy powrót, który tak naprawdę jest spotkaniem w miłości.

> (…)
> wiem, to tylko ja błądzę
> ty jesteś zawsze
> w tym samym miejscu (…)
>
> pozwalasz mylić drogę
> ale kiedy zbliżam się do skraju urwiska
> zatrzymujesz mnie
> odwracasz uwagę od otchłani
> szybko dorysowujesz nową ścieżkę
> tuż u mych stóp
>
> nie prowadzisz mnie
> lecz czuwasz
> a ja
> na przełaj
> uparcie wędruję do Ciebie
> wiem przecież:
> wierzysz, że dojdę
> („wierzysz, że dojdę”)

A miłość objawia się także w tym, że uświadamiamy sobie ogrom Bożego miłosierdzia, i… niestety, nasz egoistyczny formalizm. Nie sposób więc przejść obojętnie wobec modlitwy – poetyckiej refeksji Magdy Stroińskiej, gdy wyznaje: „Wybaw nas, prosimy Cię o Jezu, od wszelkich nieszczęść przeszłych, teraźniejszych i przyszłych, a za przyczyną błogosławionej i zawsze chwalebnej Dziewicy, Twojej Rodzicielki Maryi, świętych Apostołów Piotra i Pawła i Aniołów, którzy Ciebie pod postacią chleba w Najświętszym Sakramencie uwielbiają, odpuść nam nasze winy i zbaw nas ode złego. Amen. Za co? Za tych kilka słów wyklepanych bezmyślnie raz na tydzień, gdy w odświętnych ubraniach przestępujemy z nogi na nogę, myśląc tylko o sobie? Po co?”.

Liryczna wypowiedź poetki-językoznawcy z Hamilton, choć zróżnicowana pod względem tematycznym, jest przede wszystkim pytaniem o człowieka, o te wszystkie wartości, które określają i wypełniają jego życie. Jest więc w niej – jak wskazano wyżej – odniesienie do Absolutu i treści metafzycznych, ale jest też pytanie o miłość, przyjaźń, sens życia, nieuchronność przemijania, i wreszcie pogłębiona refeksja nad tajemnicą i koniecznością śmierci. Między innymi w utworze pt. Pomiędzy miłość i śmierć, dedykowanym pamięci Haliny Poświatowskiej w słowach:

> (…)
> umarłaś
> ja uczę się dopiero
> sztuki umierania (…)

rozbrzmiewa echo przekazu zarówno Jana Lechonia, jak i ks. Janusza St. Pasierba. Pierwszy z nich porównywał bowiem miłość ze śmiercią, bo: „Jedno wiemy tylko. I nic się nie zmienia / Śmierć chroni od miłości, a miłość od śmierci" („Pytasz, co w moim życiu…"), drugi natomiast mówił o tych, którzy odeszli na drugi brzeg, jako o tych, którzy dopiero żyją; to my powoli umieramy, a zmarli są zawsze od nas starsi o całe życie, a nawet o śmierć.

Ale nie brakuje też w tekstach Magdy Stroińskiej reminiscencji autobiografcznych, odnoszących się zwłaszcza do życia na emigracji i bliskich związków z tymi, którzy pozostali w kraju nad Wisłą, co wcale nie przeszkadza w permanentnym budowaniu uczuć, ponieważ miłość jest ponadczasowa i ponadprzestrzenna. Stąd jakże wyraziste wyznanie:

> żyjąc w klatce

> nabrałam lęku otwartych przestrzeni
> i strachu
> przed potrzebą jakiegoś wyboru
> cóż
> taka jest widać cena
> za bezpieczne życie
> („Bezpieczne życie”)

albo w innym miejscu:

> (…)
> to nic
> że nasze zegarki
> wskazują inne godziny
> i że kiedy ja kładę się spać
> ty kończysz już drugie śniadanie
> czas i miejsc
> są tu bez znaczenia
>
> wiem tylko jedno
> że zostawiłeś otwartą furtkę
> czekasz.
> („nocą…”)

Mimo że w obrazowaniu, metaforyce i konstrukcjach ideowo-artystycznych anonsowane tu utwory nie są wyszukane, niemniej stanowią autentyczne świadectwo i poetycką próbę rozrachunku ze sobą – przed sobą, przed innymi i przed Bogiem. Czegoś takiego nie można ograniczać, tym bardziej nie wypada z tym polemizować, zwłaszcza gdy mamy do czynienia z umiejętnością operowania słowem, a więc sztuką, której nie można się nauczyć. To trzeba po prostu czuć i nosić w sobie. Od strony prawideł genologicznych pomieszczone tu teksty należy zasadniczo lokować w ramach
przyjętej konwencji. A to znaczy, że główny czynnik konstytuujący liryczny charakter wypowiedzi, czyli podmiot liryczny (tzw. „ja" liryczne) oraz sytuacja liryczna, określone konstrukcjami gramatyczno-językowymi, odpowiadają powszechnym wymogom.



Magda Stroińska, fot. arch. prywatne.

Choć Autorka z reguły stosuje podmiot, który ujawnia się w formie gramatycznego „ja”, co wydaje się być najwłaściwszym rozwiązaniem z racji prezentacji indywidualnych i subiektywnych przeżyć, refeksji, doznań oraz poglądów twórcy, odwołuje się nadto – rzadziej co prawda – do innych skonwencjonalizowanych typów podmiotu lirycznego. Chodzi zatem o podmiot mniej lub bardziej ukryty w przedmiotach i okolicznościach przedstawionych, co wcale nie wyklucza, przy widocznej ponad wszelką wątpliwość dyskrecji gramatycznej, zsubiektywizowanej treści utworu. Innym zaś razem jawi się on jako wyraźny partner drugiej osoby, czyli adresat wypowiedzi lirycznej, do którego kieruje swoje wyznanie bądź refeksje na wzór mowy potocznej, zakładającej kontakt interpersonalny. I na końcu wreszcie, zastosowany podmiot liryczny, próbując utożsamiać się z pewną grupą o identycznych poglądach, tożsamych wartościach czy doświadczeniach, uzewnętrznia owe uczucia, przy niemal zupełnym zaniku form zindywidualizowanych, jakby w jej i własnym imieniu za pomocą gramatycznego „my” (np. „Wybaw nas…”, „remont u św. Jakuba”, „odchodzę…”). Ponad wszystko jednak dominuje w poezji Magdy Stroińskiej kategoria ujawnionego „ja” lirycznego, będącego od z górą czterdziestu lat powiernikiem Poetki, jej doświadczeń egzystencjalno-emocjonalnych oraz zapatrywań, którymi chce się podzielić w niniejszym tomiku.

___

Magda Stroińska, Gramatyka mojego języka, wybór, opracowanie i wstęp Jan Walkusz, Wydawnictwo Bernardinum, Pelplin 2017 r.